P0166815

F.1

PAX

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1.—.

Rok IX — Warszawa, 6 września 1953 r. — Nr 36 (406)

Biblioteka Uniwersytecka — Gdańsk

CIV 9013

W NUMERZE m.in:

W. TARCZYŃSKA — Nad Ojcami

Z. LICHNIAK — Pogłębiony sercem

M. MILEWSKI — Rolnictwo ZSSR na drodze dalszego rozwoju

L. PROROK — Wielki skok

M. NOWACKI — Rozwój urbanistyczny i archeologiczny Warszawy

Gracjan KOZŁOWSKI

Wielki poszukiwacz prawdy

Lew Tołstoj

Wczęści trzeciej autobiograficznej trylogii Tołstoja pt. „Młodość" — Nikoleńka Irtiniew mówi: *„Znałem i znam wielu, bardzo wielu ludzi starych, dumnych, pewnych siebie i ostrych w sądach, którzy — jeśli się im postawi na tym świecie pytanie: kim jesteś? coś robił? — nie będą mogli odpowiedzieć nic innego prócz słów: „je fus un homme très comme il faut".*

Cały wegetatywno-pasożytniczy tryb życia klas posiadających, a ściślej — ówczesnej rosyjskiej arystokracji zawarł Tołstoj w tym zdaniu: „byłem człowiekiem bardzo dobrze wychowanym".

Ale jednocześnie całe życie, twórczość i działalność jego samego, hrabiego Lwa Nikołajewicza Tołstoja, było właśnie antytezą owego — „comme il faut". Jego geniusz pisarza, umysł filozofa-poszukiwacza prawdy, jego serce wrażliwe na wszelką krzywdę i niesprawiedliwość sprawiły, iż nie był on „comme il faut" nie tylko wobec klasy, z której się wywodził, nie tylko wobec ustroju, który tej klasie patronował, ale nawet wobec pojęć religijnych, w których go wychowano.

Jeśli dziś chyląc czoła przed Tołstojem artystą poddajemy surowej krytyce błędy i sprzeczności w poglądach filozoficznych Tołstoja-myśliciela, przypomnijmy, co na ten temat pisał W. I. Lenin w r. 1910 w artykule poświęconym autorowi „Wojny i pokoju".:

*„Sprzeczności w poglądach Tołstoja — to sprzeczności nie tylko jego własnej myśli, lecz odzwierciedlenie niezmiernie skomplikowanych sprzecznych warunków, wpływów społecznych, tradycji historycznych, które określały psychikę różnych klas i różnych warstw społeczeństwa rosyjskiego w okresie po reformie, lecz przed rewolucją" *).*

***

LEW Nikołajewicz Tołstoj przyszedł na świat w Jasnej Polanie, niedaleko Tuły, dnia 9 września 1828 roku. Rodzice — hrabia Nikołaj Iljicz i matka Maria Nikołajewna — z domu księżniczka Wołyńska — odumarli go wcześnie, tak że wychowaniem przyszłego pisarza i jego czworga rodzeństwa zajmowała się T. A. Jergolska, daleka krewna Tołstojów.

Po studiach na kazańskim uniwersytecie Tołstoj osiadł w rodzinnej Jasnej Polanie, gdzie zajął się poprawą bytu swoich chłopów pańszczyźnianych, a jednocześnie — nie mogąc nagiąć się do ciasnych ram studiów uniwersyteckich — kształcił się samodzielnie.

W roku 1851 wyjeżdża Tołstoj na Kaukaz, gdzie w ciągu trzech lat biorąc udział w toczących się tam działaniach wojennych otrzymuje stopień oficera. W tym też czasie rozpoczyna się jego twórczość dwoma częściami trylogii autobiograficznej („Dzieciństwo" i „Lata chłopięce") oraz opowiadaniami „Wypad" i „Wspomnienia markiera". Zaczyna też pracę nad większym utworem pt: „Kozacy".

O okresie pobytu na Kaukazie pisał Tołstoj w jednym z listów do swej krewnej: *„...Czułem się na Kaukazie samotny i nieszczęśliwy. Zacząłem wówczas myśleć tak, jak człowiek zdolny jest myśleć tylko raz w życiu... Był to okres męczący i piękny zarazem. Nigdy przedtem ani też potem nie osiągałem takich wyżyn myśli, nie potrafiłem zaglądać w takie głębie w ciągu owych dwóch lat. Toteż to wszystko, do czego wówczas doszedłem, pozostanie na zawsze moim przekonaniem" *).*

W roku 1854 zostaje Tołstoj wysłany na Krym, gdzie bierze m.in. udział w słynnej obronie Sewastopola. Podobnie jak na Kaukazie, tak i tutaj życie pisarza idzie jakby dwoma równoległymi torami. Jest teraz wojskowym w czynnej służbie, nie gardzi to warzystwem kolegów, jednocześnie zaś śledząc losy wojny rosyjsko-tureckiej stwierdza, że z jednej strony przyczyną niepowodzeń Rosji jest nieudolna organizacja armii, z drugiej zaś — żołnierz rosyjski wykazał bezprzykładny heroizm i waleczność. *„Wielka jest siła moralna rosyjskiego ludu. W obecnych trudnych dla Rosji chwilach wyłoni się i rozwinie wiele prawd politycznych. Uczucie płomiennej miłości ojczyzny, zrodzone i płynące z nieszczęść Rosji, na długo pozostawi w niej ślady... **)* I dalej: *„Duch, który panuje w wojsku, nie da się w ogóle opisać. Starożytna Grecja nie znała takiego bohaterstwa"***).*

Drugi tor ówczesnego życia Tołstoja — to po pierwsze praca nad dalszymi utworami (pisze on trzecią część trylogii pt. „Młodość", „Opowiadania Sewastopolskie" oraz utwór pt. „Wyrąb lasu"); po drugie — praca nad samym sobą. Zdając sobie sprawę z jałowości życia obozowego, Tołstoj stara się zwalczyć u siebie różne słabostki, jak np. skłonność do kart, wytyczając sobie poważne zadania w zakresie kształcenia woli.

W tym też czasie rodzi się w nim pewna koncepcja religijna, która w tak znamienny sposób odbije się później nie tylko w jego twórczości, ale i w całym życiu. Oto pod wpływem jakiejś rozmowy Tołstojem owładnęła myśl *„której urzeczywistnieniu* — jak czytamy w pamiętniku — *czuję to, zdolny jestem poświęcić życie. Chodzi o założenie nowej religii, która by odpowiadała rozwojowi ludzkości, religii Chrystusa, ale oczyszczonej z dogmatów i tajemniczości, religii praktycznej, która zamiast obiecywać szczęście przyszłe zapewniałaby szczęście na ziemi" ****).*

Kiedy po upadku Sewastopala Tołstoj przyjechał do Petersburga i po raz pierwszy znalazł się w środowisku literackim, ówcześni najwybitniejsi pisarze Rosji, jak Turgieniew, Niekrasow, Gonczarow i Czernyszewski — entuzjastycznie przyjęli do swego grona młodego twórcę „Opowiadań Sewastopolskich".

(Ciąg dalszy na str. 10)

*) Lenin o Tołstoju: „Książka i Wiedza". Warszawa 1950, str. 16.

*) Cytaty z listów czerpie z pracy M. Gudzija — Lew Tołstoj (1868—1910). Wyd. polskie. Państwowy Instytut Wydawniczy. Kraków 1950.

**) Tamże.

***) Tamże.

****) Tamże.

Andrzej KRASIŃSKI

Dwie Francje

NIE tak dawno byłem świadkiem zażartej dyskusji o Francji — jej obecnej i przyszłej roli w świecie. I chociaż obie polemizujące strony stały na przeciwnych biegunach z żadną z nich nie mogłem się zgodzić. Jeden z dyskutantów — pesymista — dowodził, że wielkość Francji należy już bezpowrotnie do przeszłości, że jest to kraj fizycznie, materialnie i moralnie słaby i wyczerpany, że byłoby naiwnym złudzeniem oczekiwać odrodzenia tego starego narodu, że wreszcie wszelkie przejawy wielkości Francji, które dziś można obserwować, to tylko rentujące się jeszcze odsetki od wielkiego kapitału przeszłości. Drugi uczestnik dyskusji — optymista i gorący zwolennik wszystkiego co francuskie — przekonywał o bliskim odrodzeniu moralnych i materialnych sił Francji, odrodzeniu, które we wszystkich dziedzinach życia ze zdwojoną siłą musi nastąpić, po ciosach, które spadły na ten kraj.

Obie te ogólnikowe opinie są bez wątpienia w równej mierze fałszywe a cała dyskusja całkowicie pozbawiona sensu. Nie można bowiem zagadnienia perspektyw, jakie stoją przed narodem francuskim, odrywać od układu sił społecznych, jaki w tym kraju istnieje. Taka ahistoryczna próba osądu byłaby błędem w stosunku do każdego kraju, ale jest błędem szczególnie jaskrawym w stosunku do Francji.

Bo właśnie Francja jest klinicznym przykładem rozkładu burżuazji i form życia społecznego, jakie ta burżuazja stworzyła i jakich wbrew zdrowemu rozsądkowi uparcie strzeże. O istnieniu daleko posuniętego procesu rozkładu struktury życia zbiorowego Francji nie trzeba nikogo przekonywać, jest on zbyt widoczny. Nie wszyscy jednak uprzytomniają sobie w pełni, że towarzyszy mu inny, odwrotny a decydujący o przyszłości Francji proces — mianowicie proces dojrzewania i wzrastania na sile świadomości i jedności klasy robotniczej. Żadna statystyka wyborcza nie jest w stanie oddać w pełni doniosłości i rozmiarów tego procesu. Istotne bowiem jest to, że wokół klasy robotniczej i na pozycjach jej walki gromadzi się rzeczywiście to wszystko, co w narodzie francuskim jest moralnie najlepsze, co młode, zdolne do życia i twórcze, to co ucieleśnia i przedłuża wielkie tradycje Francji.

Potężna, nie spotykana w rozmiarach i natężeniu fala strajków, jakie ogarnęły Francję, jest nowym dowodem sił moralnych i materialnych tkwiących we francuskiej klasie robotniczej. Doniosłość tego etapu walki robotników o swoje prawa nie wyczerpuje się bynajmniej w wymuszonych na rządzie ustępstwach ani też na wielkim sukcesie całego obozu postępowego, jakim jest zwolnienie z więzienia przywódców akcji ludowej z André Stilem i sekretarzem generalnym CGT Le Leapem na czele, o których tak długo walczyła bezskutecznie klasa robotnicza i jej sojusznicy. Strajk ukazał przede wszystkim bezsilność rządu Laniela i przesądził definitywnie o jego bliskim nieuchronnym upadku. Wystarczy pobieżna znajomość sytuacji we Francji, aby dostrzec jaskrawo występujący fakt całkowitej sprzeczności pomiędzy opinią publiczną a jej rzekomą reprezentacją, jaką mają być ciała ustawodawcze. W tej samej zaś mierze, w jakiej Izba Deputowanych nie reprezentuje opinii Francuzów, rząd nie reeprezentuje opinii Izby. Mimo funkcjonowania starych instytucji parlamentarnych mechanizm rządzenia uzależniony jest całkowicie od gier i spekulacji grupki zawodowych polityków. Ostatni strajk wykazał, że jest we Francji siła zdolna przeciwstawić się naigrywaniu się garstki kapitalistów i politykierów z opinii i woli zdrowo myślącego narodu.

Jeżeli dotychczas był możliwy ten stan rzeczy urągający całej demokratycznej przeszłości Francji, to dlatego, że burżuazji francuskiej udawało się rozbijać jedność klasy robotniczej. Ruch związkowy, który z natury rzeczy organizuje i kieruje walką robotników o swe prawa i o prawa narodu, nie jest jednolity. Obok C.G.T., która bezkompromisowo reprezentuje interesy świata pracy na terenie klasy robotniczej, działają Chrześcijańskie Związki Zawodowe oraz organizacja zawodowa „Forces Ouvrieres" kierowana przez prawicę socjalistyczną SFIO. Byłoby niesprawiedliwie w całości potępiać wszystkich działaczy i uczestników tych organizacji. Ich ogromna większość chce stać i staje uczciwie na gruncie walki o lepszą przyszłość Francji, na gruncie walki o sprawiedliwość społeczną. Jednak zasadnicza linia tych organizacji bynajmniej nie jest jasna na skutek postawy kierowników, którzy ulegają presji prawicowych ośrodków politycznych lub też wręcz stanowią ośrodki świadomej dywersji. Ostatnie strajki potwierdziły raz jeszcze dywersyjny, łamiący jedność robotniczą charakter części kierownictwa tych rozłamowych organizacji.

Równocześnie jednak — i to jest najdonioślejszy dla przyszłości aspekt ostatniej fali strajków we Francji — w toku heroicznej walki podjętej w niezwykle trudnych warunkach dojrzewa i hartuje się jedność klasy robotniczej. Bo strajk ogarnął przedstawicieli wszystkich organizacji związkowych w terenie, w poszczególnych zakładach pracy i organizacjach branżowych związków zawodowych, wszędzie niemal ponad głowami dywersyjnych kierowników, osiągnięto jedność akcji. Po raz pierwszy od wielu lat faktyczna jedność została zrealizowana w ciągu tych paru tygodni strajku. Nie można przeceniać tego historycznego faktu. Oczywiście nie od razu zostaną usunięte wszelkie przeszkody na drodze do trwałej jedności we wszystkich dziedzinach. Politycy burżuazyjni pod wpływem tej klęski nie zrezygnują z prób rozbijania jedności, siania dywersji i prowokacji. Jednak ostatni strajk wyzwolił siły jedności, które dotychczas nie miały należytego ujścia. Wszystko wskazuje na to, że rozpoczął się nowy

(Dokończenie na str. 8)

Niemcy — centrum opinii światowej

Nie tylko tak ważne wydarzenia, jak nota rządu ZSRR z 15 sierpnia br. do rządów Francji, W. Brytanii i USA w sprawie niemieckiej, jak wizyta przedstawicieli rządu NRD w Moskwie i jej wyniki, jak wreszcie zbliżające się wybory do Bundestagu sprawiają, że zainteresowanie opinii światowej rozwojem sytuacji w Niemczech jest obecnie niezmienie żywe. Raczej odwrotnie, właśnie rozwój sytuacji w Niemczech spowodował znaną notę rządu ZSRR, jak też stał się przyczyną, że wizyta przedstawicieli rządu NRD w Moskwie nabrała tak dużego znaczenia.

Znany postępowy historyk niemiecki, Albert Norden, pisał niedawno: „Istnieją dzisiaj w świecie dwie krańcowo przeciwne polityki. Jedna polityka sypie do ran sól (tak charakteryzował politykę amerykańską senator Wiley nazajutrz po awanturze berlińskiej z 17 czerwca — obj. AR). Druga polityka zawiązuje rany. Jedna polityka jest za Adenauerem i za Wall Street nowojorską, tym centrum bankierów światowych. Druga polityka jest za Niemcami. Jedna polityka dąży do próby sił, do rozstrzygnięć wojennych. Jest to polityka Eisenhowera i Adenauera. Druga polityka opowiada się za pokojowym porozumieniem narodów, za rozsądnym, spokojnym współżyciem nawet wtedy, gdy zachodzą rozbieżności ideologiczne, gospodarcze i filozoficzne.'

Wydaje się, że w Niemczech zachodnich w miarę zbliżania się terminu wyborów do Bundestagu, tj. dnia 6 września, organizm Niemiec przenikają z coraz to bardziej wzrastającą siłą jednocześnie dwa jaskrawo przeciwne sobie prądy, dwa diametralnie różne procesy. Jesteśmy bowiem świadkami niebywałej refaszyzacji Niemiec zachodnich, nie widzianego od zakończenia ostatniej wojny w swym zuchwalstwie rozpętania nagonki odwetowej i mobilizowania się starego pruskiego militaryzmu. Zarazem jednak wola pokoju, pragnienie rozwiązania problemu jedności Niemiec drogą wspólnych rokowań przedstawicieli obydwu części kraju nigdy nie były tak powszechne od roku 1945 jak dzisiaj i nigdy nie znajdowały one tak wielorakiego i tak dobitnego wyrazu.

POSUNIĘCIA RADZIECKIE

W swej ostatniej nocie rząd ZSRR zaproponował mocarstwom zachodnim zwołanie konferencji pokojowej dla rozpatrzenia problemu traktatu pokojowego z Niemcami, dla utworzenia tymczasowego rządu ogólnoniemieckiego i przeprowadzenia wolnych wyborów ogólnoniemieckich oraz złagodzenia finansowo-gospodarczych zobowiązań Niemiec powstałych w wyniku wojny. Motywując każdą ze swych propozycji rząd radziecki stworzył raz jeszcze realne warunki do pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego.

W wyniku wizyty moskiewskiej przedstawicieli rządu NRD, Związek Radziecki zrezygnował na rzecz Niemieckiej Republiki Demokratycznej z pobierania reparacji niemieckich i w szerokim zakresie złagodził finansowo-gospodarcze zobowiązania NRD związane z następstwami wojny. Równocześnie rząd polski witając z uznaniem decyzje rządu ZSRR w sprawie niemieckiej powziął uchwałę zrzeczenia się z dniem 1 stycznia 1954 r. spłaty odszkodowań na rzecz Polski ze strony NRD. W ten sposób Niemiecka Republika Demokratyczna otrzymała nowe możliwości wielkiego rozwoju gospodarczego i politycznego.

Jakiż może być stosunek opinii polskiej do tych ważnych decyzji?

Dwa zagadnienia wymagają ostatecznego wyjaśnienia i całkowitej jednomyślności całego narodu polskiego: stosunek do zjednoczenia Niemiec i stosunek do pomocy udzielanej przez nasz kraj Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Najpierw sprawa zjednoczenia.

Na podziale Niemiec korzystają najbardziej odwetowe, szowinistyczne i militarystyczne środowiska społeczne w samych Niemczech, a poprzez nie wszystkie te ośrodki międzynarodowe, które szukają okazji do wywołania wojny i ofiarowują odwetowcom niemieckim Polskę jako pierwszy teren agresji. Pokojowe zjednoczenie Niemiec—to decydujące pokrzyżowanie planów tych wszystkich wrogów pokoju. Dlatego tak nerwowo i gwałtownie starają się oni uniemożliwić wszelkie rozmowy w tej sprawie. Dzień 17 czerwca był jednym z jaskrawych dowodów, że utrwalanie podziału Niemiec i przekształcanie Republiki Federalnej w ognisko militaryzmu i szowinizmu stwarza warunki, w których byle prowokacja może narazić na szwank pokój świata, przede wszystkim zaś bezpieczeństwo Polski.

Istnieją poważne podstawy do twierdzenia, że wbrew systematycznemu deprawowaniu zachodniej części Niemiec siły pokojowe i demokratyczne całego narodu niemieckiego stale wzrastają. Niewątpliwie siły te, których oparciem jest NRD, są w Republice Federalnej znacznie potężniejsze niż można by to sądzić po oficjalnym życiu politycznym tego kraju, które ujęte jest w mocne kleszcze policyjnej administracji Adenauera. Zjednoczenie Niemiec, objęcie władzy nad krajem przez rząd demokratyczny i pokojowy zwielokrotnić musi postępowe siły narodu niemieckiego. Rzecz jasna, że takie rozwiązanie sprawy niemieckiej leży w interesie całego narodu polskiego.

A sprawa pomocy polskiej dla NRD? Dlaczego mamy pomagać NRD?

Z tej prostej przyczyny, że pomagając NRD a tym samym pomagając wszystkim siłom pokojowym i demokratycznym w całych Niemczech najlepiej służymy interesom i bezpieczeństwu naszej własnej ojczyzny. Jesteśmy w takim samym stopniu co nasi przyjaciele niemieccy najbardziej bezpośrednio zainteresowani w tym, by w wielkiej walce, jaka toczy się o przyszłość Niemiec, siły odwetu i agresji poniosły klęskę.

PRZED WYBORAMI DO BUNDESTAGU

PRZYŚPIESZONA gwałtownie refaszyzacja i remilitaryzacja Niemiec zachodnich dokonuje się pod przewodem partii, która ma w nazwie słowo: chrześcijaństwo" („Christlich Demokratische Union"). Istnieje ono jednak tylko w nazwie, tylko na afiszu, bo z duchem chrześcijaństwa, z nauką Chrystusa nie ma ona nic wspólnego.

Wymownego pod tym względem przykładu dostarcza fakt, który wydarzył się w niedzielę dnia 28 czerwca rb. w Werl.

Małe miasteczko Werl posiada takie znaczenie dla Westfalii jak dla nas Częstochowa: jest największym miejscem odpustowym w tej części Niemiec. W tamtejszym kościele franciszkańskim znajduje się od 700 lat słynący łaskami obraz Matki Boskiej, do którego pielgrzymują niemieccy katolicy. Otóż w sobotę dnia 27 i w niedzielę dnia 28 czerwca br. ulicami tegoż Werl ciągnęły uroczyste procesje, w których uczestniczyli wierni z licznych miejscowości Niemiec zachodnich, przeważnie przesiedleńcy z r. 1945, wciąż jeszcze mieszkający w przewiewnych barakach lub w wilgotnych bunkrach przeciwlotniczych. Uroczystości uświetniła obecność ks. kardynała Fringsa, arcybiskupa Kolonii i — kanclerza rządu bońskiego, Konrada Adenauera. Ks. kardynał Frings wygłosił kazanie pontyfikalne na temat prawa przesiedleńców (nazywał ich oczywiście wedle urzędowej bońskiej nomenklatury „wypędzonymi z siedzib ojczystych") do „ojczyzny i własności". Do uczestników procesji, do tysięcy pątników przemówił też po kardynale Fringsie Adenauer. Rozwinął on i ukonkretnił nazbyt ogólnikowe słowa swego czcigodnego przedmówcy o „prawie do ojczyzny i własności". Uderzając w nabożny ton oświadczył, że „dzień powrotu nadejdzie prędzej niż wielu przypuszcza". Uczestnikom uroczystości kościelnej — przesiedleńcom, którzy wyczekują dnia wyzwolenia z nędzy, ukazał miraż „wyzwolenia Wschodu". Dlaczego? Ponieważ werbuje lancknechtów do nowego Wehrmachtu i uważa, że nigdzie ich tak łatwo nie znajdzie jak wśród tych pariasów „republiki" bońskiej rzeczy mających już nic do stracenia.

Tego samego dnia świętego, który nakazywał Kościół święcić, udał się Adenauer do więzienia dla zbrodniarzy wojennych, znajdujących się również w Werl, ażeby złożyć wizytę byłemu generałowi SS Meyerowi i b. generałowi Mikołajowi von Falkenhorst, tępicielowi z rozkazu Hitlera narodu norweskiego. Przede wszystkim jednak temu pierwszemu, będącemu wyjątkowo zdolnym uczniem masowego mordercy, Heinricha Himmlera. Kurt Meyer, komendant SS-dywizji „Hitler-Jugend", który w dniu 7 czerwca 1944 r. kazał w swojej kwaterze zastrzelić 43 jeńców kanadyjskich i tego samego dnia oraz następnego dalszych osiemnastu dlatego tylko, że byli jeńcami wojennymi. Kurt Meyer, którego wojskowy sąd brytyjski w r. 1946 skazał na śmierć, a następnie zmienił mu tę karę na dożywotnie więzienie, który pilnie studiuje język angielski, by przygotować się do swych „przyszłych zadań", tenże Kurt Meyer zaszczycony został odwiedzinami przywódcy ultra „chrześcijańskiej" partii Niemiec i szefa rządu bońskiego.

Co tu zresztą dużo gadać o szczegółach? Po co wyliczać fakty: że którejś niedzieli w Mannheim pod opieką rządu Adenauera 83 grupy faszystowskie połączyły się w jedną nadrzędną organizację i że zjazd ten odbywał się pod hasłem: „Wybiła godzina dla pokolenia frontowego Niemiec i Europy. Heil Deutschland". Że do Bundestagu kandydują m. in. byli generałowie hitlerowscy: Wolf Guderian, Andree i pułkownik Rudel oraz Hjalmar Schacht, b. hitlerowski przywódca „chłopów Rzeszy" Wilhelm Neinberg i osławiony nacjonalsocjalistyczny pisarz Hans Grimm. Że w Hanowerze odbył się zjazd około trzech tysięcy SS-manów, na którym „zwierano szeregi" przed spodziewaną nową wyprawą na Wschód. Że w lipcu rb. w czasie zjazdu w Monachium poddano rejestracji wszystkich członków byłego „Afrika-Korps" z Bawarii południowej i z Austrii, „ażeby — jak to usadniono — na wszelki wypadek można ich było w najkrótszym terminie osiągnąć". Itd. Itd. Jest jasne dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek przed tym, że Adenauer niemal krok po kroku naśladuje politykę Adolfa Hitlera, tzn. politykę katastrofy. Demokraci niemieccy zauważają nawet, że obecny okres przedwyborczy kubek w kubek przypomina atmosferę, jaka panowała w Niemczech tuż przed marcowymi wyborami w r. 1933, które obdarzyły Hitlera władzą dyktatorską.

WALKA TRWA

TRZEBA jednak mocno podkreślić, że nie sama tylko NRD przeciwstawia się polityce podziału i wojny reprezentowanej przez Adenauera i jego hitlerowskich oraz waszyngtońskich sojuszników. Szerokie warstwy ludności Republiki Federalnej coraz lepiej rozumieją, że polityka adenauerowska wiedzie Niemcy do katastrofy. Wśród tysięcy działaczy aktywnie przeciwstawiających się tej polityce znajdują się również wybitni działacze chrześcijańscy Niemiec zachodnich. Powszechnie znane nazwiska takich ludzi, jak pastor Niemoeller, dr Wirth, Helena Wessel, dr Heinemann, Wilhelm Elfes świadczą obok takich działaczy chrześcijańskich NRD, jak Otto Nuschke czy Gerald Goetting, że chrześcijański nurt postępowy w Niemczech przybiera na sile, że coraz liczniejsi są ci, którzy nie chcą ponosić moralnej odpowiedzialności za wielkie szalbierstwo Adenauera, który w otoczeniu niektórych dygnitarzy kościelnych chciałby swą cyniczną polityką usprawiedliwić rzekomą obroną kultury chrześcijańskiej, katolicyzmu i religii.

Spodziewana w najbliższym czasie odpowiedź rządów Francji, W. Brytanii i USA na notę radziecką pokaże, w jakim stopniu rozwój sytuacji międzynarodowej umożliwia prace nad zjednoczeniem Niemiec na drodze dyplomatycznej. Odpowiedź ta pokaże również, w jakim stopniu rząd francuski zdolny jest rachować się w swej polityce niemieckiej z interesami własnego kraju i ze sprawą utrwalenia pokoju w Europie. Niezależnie jednak od tego, jaka będzie ta odpowiedź mocarstw zachodnich, jak również niezależnie od tego, jaki będzie wynik wyborów do Bundestagu przygotowywanych w atmosferze niebywałej presji, sprawa pokojowego zjednoczenia Niemiec pozostanie najważniejszą sprawą polityki europejskiej, a obowiązek walki o to zjednoczenie naczelnym obowiązkiem patriotów niemieckich i patriotów wszystkich krajów sąsiadujących z Niemcami.

AR.

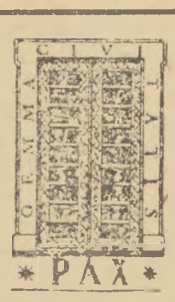

PISMA KATECHETYCZNE
Św. AUGUSTYNA
Cena zł 26.—

LISTY ŚW. PAWŁA APOSTOŁA
Przekład Ks. prof. E. Dąbrowskiego
Cena zł 16.—

Antoni Gołubiew
BOLESŁAW CHROBRY
4 tomy
Cena zł 112.—

WRÓG POZOSTAŁ TEN SAM
Zbiór Artykułów
Cena zł 3.—

Janina Kolendo
SZUKAJĄC DROGI
Cena zł 20.—

Zygmunt Lichniak
POETA KONSEKWENCJI
Cena zł 12.—

Andrzej Łepkowski
LUDZIE znad ZATOKI
Cena zł 15.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX", Mokotowska 43 Warszawa, za zaliczeniem pocztowym lub po wpłacie na konto PKO Nr I-6715 z dodaniem zł 3 — na koszt przesyłki.

Miguel HERNANDEZ

WICHER LUDU

Porywają mnie wichry ludu,
Unoszą mnie wichry ludu,
rozpierają mi serce,
rozdzierają mi krtań.

Woły schylają czoła
beznamiętnie spokojne
pod ciosami oprawców;
Lwy się podnoszą po ciosie
i karzą natychmiast śmiałka
swymi strasznymi łapami.

Nie jestem z ludu wołów,
jam z ludu zrodzonego
wśród gromad lwów,
przełęczy orłów,
grzbietów byków
wściekle wznoszących rogi.

Woły nie ryczały nigdy
w krajobrazie Hiszpanii.
Kto mówił by włożyć jarzmo
na karki tej rasy?
Kto mógł huraganowi
założyć jarzmo lub więzy,
albo kto błyskawicę
zatrzymał jak więźnia w klatce?
Nieulękli Asturyjczycy,
nieugięci Baskowie,
weseli Walencjanie,
świetni Kastylkanie,
jako ziemie uprawni,
lotni jak skrzydła ptasie;
gwałtowni Andaluzjanie
zrodzeni przy dźwięku gitar
i na kowadłach ukuci,
zalani potokiem łez;
pszeniczni Estramadurzy,
Galicjanie deszczowi,
twardzi Katalończycy,
dumni Aragończycy,
wybuchowi Murfowie
owocnie się mnożący,
Nawarrowie, Leonezyjczycy,
mistrzowie głodu i trudu,
królowie biedowania,
panowie potu i pracy;
ludzie spomiędzy korzeni,
żywotni jak korzenie;
pójdziecie od życia do śmierci,
pójdziecie z nicości w nicość.
Chcą wam założyć jarzmo
ludzie trujących łąk,
jarzmo, które zrzucicie
strzaskawszy na ich ramionach.
Gdy nastanie zmierzch wołów,
budzi się wówczas jutrzenka.
Woły padają strojne
w pokorę i zapach obory,
a orły, lwy i byki
strojne w dumną zuchwałość;
a przecież wraz z nimi życie
nie rwie się i nie kończy.
Bowiem konanie wołów
zbyt nikłe jest i marne,
gdy śmierć dumnego zwierzęcia
wzrusza wszystko co żywe.
Gdy mam umierać, niech umrę
z głową wysoko wzniesioną.
I tysiąckrotnie umarły
z ustami tuż przy ziemi,
będę miał zęby ściśnięte
i nieugiętą twarz.
Czekam śmierci śpiewając,
bo słowiki śpiewają
gdy trzeszczą karabiny
pośród dymu i bitwy.

przełożył
Janusz Kozłowski

Miguel Hernadez — poeta młodzieży hiszpańskiej zamordowany przez franksistów.

Urodzony w Orihuela 1910 r., syn ubogiego wieśniaka. W młodości był pasterzem. Od najwcześniejszych lat pracował nad sobą i czytał wszystkie książki, jakie tylko wpadły mu w ręce. Pierwszy jego poemat napisany został pod wyraźnym wpływem klasyków hiszpańskich.

W okresie poprzedzającym powstanie faszystowskie dzieła Hernandeza zaczęły być znane i wielbione w całej Hiszpanii. Poezja jego staje się wówczas coraz mocniejsza i odrębniejsza. Korzenie jej sięgają w lud i w ziemię hiszpańską, której był wierny aż do śmierci.

Podczas rewolucji Miguel bronił Madrytu w szeregach wojsk ludowych. Później współpracuje w Andaluzji z dziennikiem „Altavoz del Frente" (Głos Frontu), na łamach którego zamieszcza poematy i sztuki teatralne zagrzewające żołnierzy do walki.

Podczas wojny z najeźdźcą faszystowskim powstały najlepsze jego utwory zarówno pod względem formalnym, jak ideowym i patriotycznym.

Zmarł 28 marca 1942 r. zamordowany przez franksistów w więzieniu Alicante.

Wanda TARCZYŃSKA

NAD OJCAMI

1

NIEWIELE jest może haseł tak wytrwale powtarzanych, a tak nikle realizowanych jak hasło powrotu do samych źródeł kultury katolickiej w jej najgłębszym sensie — do pierwszych wieków chrześcijaństwa. Postulat niezwykle żywotny, stanowiący jeden z kamieni węgielnych odrodzenia katolicyzmu, utonął w morzu niewiele lub nic nie mówiących frazesów o życiu naszych najwcześniejszych poprzedników na drodze Chrystusowej.

Nasze pojęcia o chrześcijanach pierwszych wieków kształtowały najpierw, w dzieciństwie jeszcze przesłodzone opowiadania o „małych męczennikach", potem „Quo Vadis" i inne mniej ważkie utwory z tej samej rodziny literackiej. Karmelkowe barwy powieściowego obrazu przesłoniły nam skutecznie prawdziwe oblicze tych ludzi, jakże dalekich w rzeczywistości od jego ckliwej słodyczy, ludzi, dla których istotą życia było ciężkie, bezkompromisowe dawanie świadectwa prawdzie, bez małodusznego zakreślania granic służbie swym ideałom religijnym. Ci pokolorowani i polakierowani święci z obrazka nie mają w sobie nic pociągającego. Wiemy, że przewyższali nas nieskończenie, że powinniśmy się na nich wzorować, ale to wszystko. Nie umiemy zobaczyć w nich żywych ludzi, ludzi cierpień i walk, zwycięstw i upadków, ludzi, od których uczyć się mamy chrześcijaństwa.

Nie rozwiążą trudności, nie zbliżą nas naprawdę do nich gruntowne nawet studia nad epoką i środowiskiem. Grube tomy opracowań nauczą nas wiele, wyjaśnią warunki, w jakich żyli i działali chrześcijanie pierwszych wieków, wskażą czynniki historyczne, które kształtowały ich mentalność. Nie tchną jednak życia w hieratyczne, biało odziane postacie z palmami męczeńskimi w ręku. Nie wydobędą też z tradycji wczesnochrześcijańskich ich istotnych wartości, z tej prostej przyczyny, że jak zobaczymy, wartości te nie polegają na jakichś nowych odkryciach, na niezwykłości, oryginalności praw, ale raczej na duchu, w jakim odwieczne treści, te same, które karmią nasze życie nadprzyrodzone, były przyjmowane, przeżywane, głoszone i realizowane.

Droga do poznania pierwszych chrześcijan jako żywych, podobnych nam ludzi jest tylko jedna — lektura ich własnych pism, tj. lektura Ojców Kościoła i innych pisarzy wczesnochrześcijańskich, obejmowanych często w praktyce tym samym terminem, użytym w rozszerzonym znaczeniu. I tu leży rdzeń trudności. Odeszliśmy bowiem tak daleko od duchowości tych, dla których mamy tylko chłodny podziw, że nie umiemy ich odnaleźć nawet w ich własnym dziele, nie umiemy ich czytać. Przy najlepszej woli, przy najrzetelniejszym wysiłku lektura nie przynosi często nic prócz wzbogacenia erudycji, pozostawiając natomiast osad nudy czy zniechęcenia. Zamykając książkę stwierdzamy, że zawiera ona wiele interesujących szczegółów obyczajowych, że dowiedzieliśmy się z niej niejednego o życiu pierwszych chrześcijan, oni sami jednak pozostali postaciami z podręcznika historii Kościoła, martwymi dla nas i obojętnymi, a ich słowa nie powiedziały nam nic o Bogu, o naszej własnej duszy, o naszej drodze i walkach. Pisma Ojców — najkapitalniejsze źródło skarbów, których szukamy czy chcemy szukać u najdawniejszych naszych poprzedników w życiu Chrystusowym —, mogą stać się równie łatwo nudną piłą najeżoną cytatami z Pisma św. jak żywymi książkami mówiącymi o żywych ludziach i żywych sprawach.

2

Warunkiem zatem dotarcia do autentycznych źródeł tradycji wczesnochrześcijańskiej jest umiejętność czytania, umiejętność znalezienia klucza do dzieł pisarzy wczesnochrześcijańskich. Umiejętność ta zawiera się w dwu wskazaniach, które omówię kolejno szerzej: nie wolno odrywać dzieł Ojców od osobowości samych świętych autorów i nie wolno wyrywać ich z kontekstu epoki.

Pierwsza z wymienionych wskazówek płynie z najbardziej uderzającej cechy piśmiennictwa chrześcijańskiego pierwszych stuleci naszej ery, cechy stanowiącej niewątpliwie ich specificum. Tajemnicą tych książek jest mianowicie fakt, że są one wszystkie głęboko osobiste, tak, właśnie wszystkie: listy do przyjaciół i apologie mające na celu wywalczenie chrześcijaństwu legalnej pozycji w imperium rzymskim, intymna spowiedź, jaką są „Wyznania" Augustyna, równie jak homilie i traktaty teologiczne. Dzieje się zaś tak po prostu dlatego, że dla pokoleń pierwszych pisarzy chrześcijańskich wszystko, co dotyczy nauki Chrystusa i życia w założonej przez Niego mistycznej społeczności, jest sprawą najbardziej i najgłębiej własną i osobistą. Obce im jest wszelkie dzielenie życia na ludzkie i Boże, na świeckie i religijne, ów charakterystyczny dla naszych czasów katolicyzm kończy się na progu budynku kościelnego. Ich chrześcijaństwo ogarnia bez reszty całe ich życie, jest z nimi najściślej zrośnięte. To prawdziwi członkowie Kościoła, żyjący nie tylko w łasce, ale i łaską. Wszczepieni z pełnią świadomości i głębią przeżycia w mistyczne Ciało Chrystusa, czują się jednym z Nim, wszystko przeżywają razem z Chrystusem, swoje sprawy złożyli w Jego ręce, Jego sprawy przyjęli za swoje. W tych warunkach operująca subtelną argumentacją logiczną polemika doktrynalna może zawierać więcej pierwiastka najżywszej, najbardziej osobistej pasji (nie mającej oczywiście nic wspólnego z zacietrzewieniem spierających się klerków), niż niejedno dzieło o pozorach intymności i „prywatności". W tych warunkach również zapoznanie osobistego charakteru dzieł prowadzi do niezrozumienia ich natury, uniemożliwia uchwycenie zasadniczego ich nurtu, pozbawia je wreszcie właściwego im życia. Tylko oczyma samych Ojców spojrzeć można na problematykę ich pism, tak aby zobaczyć w pełnym świetle jej prawdziwe, nie wykrzywione i nie zubożone oblicze.

Druga wskazówka ma charakter ogólniejszy. Jej uzasadnienie obejmuje swym zasięgiem nie tylko dzieła Ojców Kościoła, wspiera się tym razem na specyficzności świata kultury. Takie już jest bowiem paradoksalne prawo tego świata, że po to, by dzieła kultury miały prawdziwie ponadczasową, nieprzemijającą wartość, muszą być one rzetelnie historyczne, muszą wyrastać z żywego konkretu swoich czasów. Przekonanie, że ponadczasowość dzieła wzmaga się tym bardziej, im bardziej jest ono wyabstrahowane z dziejowej rzeczywistości, im mniej ma cech wiążących z określonymi realiami historycznymi — opiera się na nieporozumieniu. Tak spreparowane utwory nie są ponadhistoryczne, ale pozahistoryczne, a to nie jest to samo. Pisma Ojców nie mają nic z tak pojętej abstrakcyjności, nie są zawieszone w pustce. Aby je przeto w pełni zrozumieć, wymagają czytania przez pryzmat historii, przez pryzmat czasów, które je wydały.

Jeśli odrzucimy nieobojętną, ale drugorzędną sprawę małych realiów, pozostaną nam dwa zasadnicze aspekty historyczności piśmiennictwa wczesnochrześcijańskiego. Czytając Ojców pamiętać musimy, że wydała ich epoka, z jednej strony walki, z drugiej — rodzenia się nowej kultury, przełamywania się jej z zastanymi wartościami kulturowymi.

Wszystkie niemal książki pierwszego okresu chrześcijaństwa zrodziły się w ogniu sporów, trudności a nawet walki. Nie powstawały przy biurku, w ciszy naukowej pracowni. Nie służyły zadowoleniu estetycznemu ani nawet czystej kontemplacji. Były owocem całkowitego zaangażowania się twórców w służbie wyznawanej prawdy.

To jeden aspekt historyczny — aspekt łatwiejszy do dostrzeżenia. Jeśli jednak czytając śledzić będziemy krok za krokiem myśl autora, odnajdziemy i drugi — odkryjemy pulsujący rytm tego przeogromnego wysiłku, w którym na kartach dzieł Ojców rodzi się przecież w naszych oczach egzegeza biblijna, filozofia i teologia katolicka. Zobaczymy, jak formułuje się po raz pierwszy twierdzenia, argumenty, definicje, wnioski, które my znamy w formie całkowicie spetryfikowanej, jak mędrzec chrześcijański łamie się z trudnościami zastosowania do nowej nauki aparatu technicznego odziedziczonego po myśli starożytnej. Możemy prześledzić, jak stopniowo, krok za krokiem wyłania się spośród błędów i nieudolności to, co składać się będzie na korpus prawd zawartych w nauce Kościoła i na bogactwo myśli chrześcijańskiej. Możliwość uchwycenia tej myśli i w ogóle kultury chrześcijańskiej in statu nascendi stanowi niewątpliwie szczególny i bynajmniej nie najmniejszy urok dzieł pierwszych stuleci naszej ery.

Dopiero jeśli spojrzymy na wszystkie te zbiory kazań, apologetyki, traktaty, polemiki pod kątem widzenia ich aktualności współczesnej, jeśli prześledzimy ich na stronicach pasjonujący proces kształtowania się pierwocin i fundamentów wielkiej kultury, proces ujmowania świeżo zdobytych przedwiecznych Bożych wartości w ramy istniejących wartości ludzkich, jeśli wreszcie odszukamy na kartach utworu jego autora, człowieka, żywą ludzką indywidualność, a znalazłszy spojrzymy na to, co pisze, jego oczami — wówczas suche pozornie i martwe teksty nabiorą rumieńców życia i w pełnym blasku staną przed nami skarby, których instynktem raczej niż świadomością w początkach chrześcijaństwa poszukujemy — duchowość pierwszych chrześcijan.

3

Chrześcijaństwo nasze choruje na paraliż, któremu na imię rutyna. To co przyjęte i zastane od najwcześniejszego dzieciństwa, co wkracza w nasze życie wcześniej niż najelementarniejsza świadoma praca myśli, co nie wymaga zdobywania, co jest łatwo osiągalne — przyjmuje się najczęściej jako rzecz najzupełniej naturalną, jako powszedni element życia. Prawdziwa żarliwość jest wśród nas zjawiskiem niezmiernie rzadkim. Nie sam tylko snobizm każe nam słuchać kazań i konferencji czy wczytywać się w podręczniki ascetyczne, zbiory rozmyślań obfitujące w zaskakujące oryginalnością zestawienia, zręczne a nieoczekiwane powiązania, błyskotliwe sformułowania, finezyjne spostrzeżenia psychologiczne. Szukamy w ten sposób czegoś, co by nas zaskoczyło, poruszyło zastałe wody naszej wiary, szukamy sztucznych pożywek, aby podsycić wątły płomyk naszej, pożal się Boże, żarliwości, przysypany zabójczym popiołem powszedniości i rutyny. Takich pożywek na próżno szukalibyśmy w dziełach Ojców. Ich pasja do Prawdy płonęła równym, silnym ogniem, nie wymagała podsycania czynnikami wtórnymi, bo dla nich samo chrześcijaństwo było tym, czym dla nas nie staje się nigdy, a czym jest niewątpliwie w swej istocie — rewelacją. Oni chrześcijaństwa swego nie otrzymali jak my u progu życia, bez trudu, bez zachodu nie wzrastali z nim, przyzwyczajając się zwolna do niego, w świecie, który mieni się chrześcijańskim i ma niewątpliwie zewnętrzne pozory chrześcijańskości. Oni swoje chrześcijaństwo, nawet jeśli nie są w sensie ścisłym nawróconymi poganami, zdobyli, znaleźli je jak kupiec z przypowieści ewangelicznej drogocenną perłę i ujrzeli w pełni jej blask. Przeżyli obecą nam chwilę znalezienia się twarzą w twarz z nową Prawdą, jakże różną od wszystkiego, co ich otaczało. W tych warunkach chrześcijaństwo było dla nich — raz jeszcze powtarzam — rewelacją, wstrząsem. I to jest najistotniejsza tajemnica, najgłębszy korzeń duchowości czasów apostolskich i bezpośrednio poapostolskich — stosunek do chrześcijaństwa jako do żywej, nowej prawdy, wywracającej dotychczasowy system wartości i tworzącej system nowy, domagający się całkowitej przebudowy wewnętrznej człowieka, „obleczenia się w człowieka nowego".

Stąd płyną wszystkie cechy duchowości epoki. Ograniczę się tutaj do naszkicowania tylko zasadniczych jej linii, pełniejsza charakterystyka wymagałaby obszernego traktatu.

Najpierw więc ogromna we wszystkim prostota. Chrześcijaństwo mimo całej swej paradoksalności, mimo mroczności tajemnic jest z istoty swojej niezmiernie proste, a wiemy już, że ojcowie niczego poza pierwszym planem chrześcijaństwa nie szukają i szukać nie potrzebują. Współczesny nam katolik, zbyt skomplikowany wewnętrznie, by umieć wyplątać się z mnóstwa bocznych ścieżek i nadbudówek, skądinąd niekiedy bardzo użytecznych, którymi obrósł katolicyzm w ciągu stuleci swych dziejów, a zwłaszcza w stuleciu ubiegłym — zagubił najprostszą drogę do Chrystusa, błąka się po marginaliach wiary zamiast żyć najgłębszą jej istotą. Inaczej pierwsi wyznawcy Chrystusa. Ich droga biegnie prosto, jak strzelił. Jak kamienie milowe wytyczają ją najprostsze, najbardziej fundamentalne prawdy katechizmowe. Oni nie gubią się wśród rozlicznych subtelnych odcieni duchowości, wśród systemów życia wewnętrznego, metod modlitwy, niewątpliwie pożytecznych, ale jakże często przysłaniających prawdziwą treść katolicyzmu. Nie są ani jezuiccy, ani franciszkańscy, ani dominikańscy — są tylko katoliccy. Nie ma w nich nic ze stylików o charakterze wtórnej maniery, urastających w niektórych środowiskach katolickich do rozmiarów mitów przytłaczających i przysłaniających rzeczywistość — jest wielki, powszechny, prawdziwie katolicki styl, zrodzony z prostoty i czystości zasadniczej linii.

Zasadą prostoty Ojców jest ich chrystocentryzm. W ośrodku wszystkich spraw świata jest Chrystus — Jego Wcielenie, Odkupienie, Zmartwychwstanie, On jest zasadą jedności, do której wszystko się sprowadza, w której wszystko się zawiera, wszelkie nabożeństwo, wszelka modlitwa do Niego muszą prowadzić pośrednio czy bezpośrednio. Wszelkie wspominane metody, systemy istnieją przecież po to tylko, by nas do Niego przywieść, sensem życia chrześcijańskiego jest zjednoczenie z Nim. My, którzy tak często zatrzymujemy się w pół drogi, traktujący czynniki pomocnicze jako cel sam w sobie, uprawiający niejednokrotnie metodę dla metody, stosujący system dla systemu, praktykujący ascezę w oderwaniu od zasady wymiany wartości — jakże wiele nauczyć się możemy od pierwszych

(Dokończenie na str. 9).

PISMA OJCÓW KOŚCIOŁA

Tertulian	— APOLOGETYKA	Cena zł	18,—
Papież Grzegorz Wielki	— KSIĘGA REGUŁY PASTERSKIEJ	„	18,—
Św. Jan Chryzostom	— O KAPŁAŃSTWIE	„	18,—
INNE:			
Dr Jan Sejdak	— TERTULIAN	„	45,—
	(czasy, życie, dzieła)	„	24,—
Ks. M. Dybowski	— O TYPACH WOLI	„	24,—
Prof. Dr Z. Kaczmarczyk	— MONARCHIA KAZIMIERZA WIELKIEGO (Organizacja Kościoła i Kultury)	„	27,—

Do nabycia w Oddziałach „Veritasu" lub za zaliczeniem pocztowym.
CENTRALA „VERITAS" W-wa, Mokotowska 43.

Dwie Francje

(Dokończenie ze str. 1)

etap walki o jedność klasy robotniczej, etap, który musi przynieść w najbliższym czasie owoce.

Mówiliśmy wyżej o klinicznym przykładzie rozkładu starych form, jaki stanowi obecna Francja. Istotnie na tym przykładzie można uczyć się współczesnej socjologii. Nie wszędzie bowiem zjawiska klasowe przebiegają z tak geometryczną wyrazistością. Gdzie indziej mamy często do czynienia z przenikaniem się klas, z polityką ustępstw burżuazji, co zaciera nieco przejrzystość obrazu i może zmylić mniej przenikliwego obserwatora. We Francji na skutek despotycznego upodu burżuazji przedział i przepaść między Francją rozkładu a Francją odrodzenia pogłębia się nieustannie.

Dlatego tak zasadniczo fałszywa była postawa obu dyskutantów, o których wspomniałem na początku. Nie ma dziś Francji jako takiej. Na terytorium tego kraju żyją obok siebie dwie Francje: jedna skazana na śmierć, druga młoda, zdrowa moralnie i fizycznie, dziedziczka wielkiej przeszłości i równocześnie twórczo zwrócona ku idącym dniom.

Jeśli ich wypowiedzi uzupełnić tym koniecznym komentarzem, to zarówno nasz optymista, jak i pesymista mieli rację.

A. Krasiński

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (40)

POGŁĘBIONY SERCEM

Wiktor Woroszylski

WŚRÓD młodego pokolenia twórców powojennej poezji polskiej jedno z czołowych miejsc zajął od samego początku i zajmuje po dziś dzień Wiktor Woroszylski. Jest to jeden z najbardziej utalentowanych i jeden z najbardziej aktywnych poetów-agitatorów. W tej chwili (pomijając jego prace prozatorskie, jak: „Przyjaciele zza Odry", wyd. „Książka i Wiedza", 1953, str. 97) ma za sobą już dziesięć poetyckich pozycji książkowych. Debiutował tomikiem „Śmierci nie ma!", wydanym przez „Książkę i Wiedzę" w roku 1949. W tym samym roku pojawiła się w wydaniu „Frasy Wojskowej" jego „Noc komunarda", a w wydaniu „Książki i Wiedzy" tom satyr i fraszek pt. „Weekend mister Smitha". W roku 1950 Z.L.P. wydał — pośród innych — jego „Arkusz poetycki". W rok później ukazuje się nakładem „Książki i Wiedzy" tomik pt. „Pierwsza linia pokoju". Potem wiersze jego ukazują się w trzech tomach grupowych: w „Wiośnie szeciolatki", w „Poematach o gen. Świerczewskim" i „Świt nad Nową Hutą" w zbiorze „Budujemy". W roku 1953 ukazał się w Państwowym Instytucie Wydawniczym tom jego wierszy pt. „Ojczyzna", a „Iskry" wydały ostatnio „Trzy poematy". Nowy tom narasta w publikacjach prasowych, poeta przebywając na studiach w Moskwie — zbogaca ciągle swoją twórczość. „Wiersze moskiewskie" („Nowa Kultura, nr 30/174 z dn. 26.VII. 53 r.) wskazują na jego rozmach.

Ten obfity plon ilościowy twórczości poetyckiej Wiktora Woroszylskiego jest bardzo zróżnicowany jakościowo. Dzisiaj jednak stwierdzić można jedną rzecz niewątpliwą: wykres dojrzałości poetyckiej ciągle pnie się w górę, ranga artystyczna utworów ciągle wzrasta, rzetelność ideowa wypowiedzi poetyckich ciągle się pogłębia. Wiktor Woroszylski z „Czasu miłości" wskazuje na Wiktora Woroszylskiego nawet z „Pierwszej linii pokoju" jako na brulion samego siebie; rozwój ostatnich lat jest dla poety przejściem od utalentowanego krzykactwa do skupionej, świadomej swego sensu ideowo-artystycznego mowy poetyckiej.

Warto zastanowić się dokładniej nad pogłębioną poezją autora „Czasu miłości". Warto nawet przypomnieć punkty wyjściowe jego rozwoju. Warto nawet przejrzeć własną wypowiedź o tamtym Woroszylskim, Woroszylskim z tomiku „Śmierci nie ma!" i z „Pierwszej linii pokoju".

Dwa i pół roku temu (w nr. 16 z r. 1951) opublikowałem na łamach „Dziś i Jutro" artykuł „Woroszylski pod mikroskopem". Zwracałem w tym artykule uwagę, że „Woroszylski odegrał w powojennym życiu literackim Polski bardzo ważną rolę". Mówiłem, że „oceniając szczerze dorobek poetycki Woroszylskiego nie ma potrzeby powtarzać truizmów o trudnościach młodego poety i ważności nowego kierunku". Podkreślałem, że „niewątpliwą zasługą Woroszylskiego jest odważna walka z tymi trudnościami". Zwracałem uwagę, że „on pierwszy spośród poetów obozu marksistowskiego starł się z nimi w konkretnym działaniu poetyckim". Akcentowałem wyraźnie, że „on pierwszy podjął próbę wcielenia w kształt żywego słowa programu, który tylko teoretycznie określano przed nim". W ten sposób wyodrębniłem Woroszylskiego jako poetę o ogromnej funkcji społecznej, funkcji symptomu i faktu jednocześnie.

Dlatego też poddałem dokładnej analizie jego dorobek poetycki. Operowałem przykładem najprzód jednego wiersza, a później próbkami prawie wszystkich utworów. Wynik analizy był surowy: żarliwości bojownika nie odpowiadała rzetelność artysty, wielkości idei nie towarzyszyła czujność poetycka, gromkich haseł nie uplastyczniał obraz, przeciwnie — żarliwość pchała ku deklaracjom, pewność zwycięstwa słusznej idei wyrażała się poetyckim żargonem cwaniackości, słuszne hasła potykały się o prozaizmy, naiwności artystyczne, niechlujstwa rytmiki i języka. Odwaga tomiku „Śmierci nie ma!" musiała być określona po prostu jako tupet poetycki.

Tom pt. „Pierwsza linia pokoju" sygnalizował poprawę. Dlatego skrupulatnie i radośnie odnotowywałem, że wiersze w nim zawarte „cechuje większa już troska o powagę słowa poetyckiego". Wskazywałem, że „Woroszylski w spokojnym, czasami nieomal epickim tonie ballady wyzbywa się powoli symplackich łatwizn, unika niedopuszczalnych uproszczeń, zdobywa się nawet na ciekawy obraz, dobrze brzmiącą frazę muzyczną czy patetyczną, a nie — jak dawniej — deklaratywną tylko inwokację". Wydobywałem tytułami wiersze udane, wzruszające.

Jednocześnie musiałem stwierdzić, że „Woroszylski nie wszystkie swoje wiersze obdarza jednakowo czujną uwagą, a w dobrych wierszach nie wszystkim ich partiom użycza tej samej troskliwości o pełnię wyrazu". Wytykałem ostro, że „jeszcze prozaizmy atakują poetycki klimat utworów, jeszcze mechaniczny deklaracjonizm rozsadza artystyczną budowę wiersza, jeszcze autor zgrywa się w nieszczęsnej stylizacji nadwiślańskiego andrusa".

Nazwałem te wiersze brulionami. Ale wyrażałem głębokie przekonanie, że „Woroszylskiego stać na mocne czystopisy". Analiza była ostra, bo — jak pisałem w zakończeniu artykułu o tamtym Woroszylskim — „cenię jego talent", bo rozumiem, że „rola, jaką odgrywa w polskiej powojennej pozycji marksistowskiej, jest rolą poważną".

Przypominam dzisiaj tamtą ocenę, bo z perspektywy czasu potwierdza się jej słuszność, potwierdza tę słuszność dalszy rozwój poety. Ani słowa nie chcę i nie będę zmieniał w sądzie o tamtych utworach. Trzeba tylko sąd ten brać takim, jakim był, bez zafałszowań i macherkowych interpretacji.

Od tamtych wierszy minęło dwa lata. Cofnięcie się ku tamtym wierszom ma ułatwić prześledzenie procesu rozwojowego poezji Woroszylskiego, a raczej odnotowanie ostatnich osiągnięć, będących uwyraźnieniem rozwoju.

Te dwa lata, przez które Woroszylski szedł od „Pierwszej linii pokoju" ku „Czasowi miłości", były latami pracy nad poezją reportażową, którą reprezentują wiersze z „Wiosny sześciolatki", nad poezją międzynarodowego konkretu politycznego, którą reprezentują wiersze z N.R.D., wreszcie nad poezją dużych form, form poematu, którą reprezentują „Świerczewski", przerobiony „Świt nad Nową Hutą" i „Czas miłości". Zasadniczym tego dorobku są dwa tomy: „Ojczyzna" i „Trzy poematy". W pierwszym zgromadził poeta swoje wiersze, które tematycznie moglibyśmy określić jako reportaż z terenów budowy planu 6-letniego i poetycki wyraz podróży do N.R.D., w drugim natomiast — jak sama nazwa wskazuje — zebrane zostały utwory większego formatu.

Główną uwagę skupia na sobie z „Trzech poematów" — poemat pt. „Czas miłości". Jest on niejako podsumowaniem poetyckich możliwości Woroszylskiego, jest niby syntezą jego dotychczasowych osiągnięć, jest czymś w rodzaju soczewki skupiającej w sobie zwycięskie zawężenie procesu rozwojowego. Ukazuje poetę dojrzałego, skupionego, zdolnego do wpisania w słowo pogłębione sercem najbardziej wewnętrznej prawdy o epoce, o nowym człowieku. „Czas miłości" jest w poezji Woroszylskiego czasem mądrego samookreślenia.

Jest rzeczą oczywistą, że nie oznacza to pominięcia czy „Świerczewskiego", czy przepracowanej wersji „Świtu nad Nową Hutą" lub wierszy ze zbioru „Ojczyzna". Wszystkie te utwory składają się na nową sylwetkę Woroszylskiego, ale też wszystkie jako elementy ewolucyjne uczestniczą w jego „Czasie miłości". Pisząc o najdojrzalszym utworze poety określamy tym samym wszystkie utwory jego dojrzewania, ukazujemy je niejako w formie już przetransformowanej na język ewolucyjnego procesu, wtapiamy je w wartość ogólnego stopu, którego próbą określającą ostateczny skład chemiczny jest próba najwyższa.

Kto pamięta takie wiersze z tomiku pt. „Ojczyzna", jak „Nowotko", jak „Walerian Nowak" czy „Traktorzysta Flis", wiersze ukazujące nową mądrość poety, bo mądrość pochylenia nad poetyckim konkretem humanistycznym, będącym jednocześnie — dzięki prawu typizacji — prawidłowym uogólnieniem procesów społecznych, kto wsłuchiwał się w ludzkie strofy „Świerczewskiego" czy partie „Świtu nad Nową Hutą", poświęcone przeobrażeniom młodego chłopaka wiejskiego — Zdzicha — ten w „Czasie miłości" dojrzy tylko twórczą konsekwencję, ewolucyjne udoskonalenie tej samej zasady poetyckiego uogólnienia wiedzy o rzeczywistości społecznej. Zasada ta sprowadza się do rozumienia bardzo prostego związku: wielka historia rewolucyjnych przeobrażeń w realnym, ludzkim wymiarze konkretu humanistycznego zbliża wielkość procesów historycznych rozumieniu i przeżywaniu ludzkiemu.

Łatwo tę zasadę wyłożyć teoretycznie, trudniej ją wpisać w trud praktyki poetyckiej. Woroszylski tego dokonał i na tym polega jego twórcza przemiana, na tym opiera się jego poetycki awans, jego zwrot ku dojrzałości, nakazujący odwrót od dawnej łatwizny i papieroplastyki lirycznej. Dzięki dokonaniu tego zwrotu, dzięki temu dźwiganiu się wzwyż przez trud dwóch bogatych lat staje przed nami Woroszylski w „Czasie miłości" — pogłębiony sercem.

Poemat pt. „Czas miłości" jest najczystszą, najżywszą realizacją zasady poetyckiego konkretu humanistycznego. Przez konkretny los ludzki wypowiada się tu prawda ogólna ale i indywidualna zarazem. W konstrukcję indywidualnego zjawiska wpisana jest tu diagnoza historyczna, określenie klimatu epoki, wiara w jej zwycięstwo. Los ludzki jest bliski przez swoją intymność, szczerość, bezpośrednią liryczność, a jednocześnie ważny przez swoją relację w odniesieniu do praw zasadniczych, rządzących historią. Gdy poeta pyta w zakończeniu:

Kogo śpiewam — ciebie czy czas nasz?
gdy zastanawia się:
Ty bez niego — byłabyś sobą?
gdy stwierdza:
On bez ciebie — ileż ubożeje...

akcentuje prawdę krzyczną swoich wyznań, nierozdzielność wielkiej historii i najintymniejszych spraw ludzkiego serca, a mówiąc przy tym o sprawach ludzkiego serca pięknie, przekonująco, bo prawdziwie — mówi o wielkiej historii językiem dla wszystkich zrozumiałym, pięknym, bo prawdziwym. Ta zdobyta w procesie ewolucyjnym mądrość odczytywania historii z człowieka i mądrość wpisywania człowieka w historię stanowi zwycięską podstawę działania poetyckiego Wiktora Woroszylskiego w poemacie pt. „Czas miłości".

Wzmocnieniem siły lirycznej poematu, zbogaceniem jego ładunku uczuciowego i pogłębieniem jego wymowy humanistycznej nagrodzona została poecie niewątpliwie trudna w realizacji praktycznej ambicja utożsamienia siebie z podmiotem. Poemat mówi o twórcy wprost. O rzeczach najintymniejszych bez cienia ekshibicjonizmu a przy maksimum bezpośredniości — oto zwycięska linia postępowania poetyckiego.

Efekt? Powiedzmy zwyczajnie, serdecznie, z radością. Otrzymaliśmy utwór, który nas wzrusza i uczy. Wzrusza nas swoją prawdą uczuciową, rzetelnym ładunkiem głębokiego liryzmu, niepowierzchowną, a przeciwnie: do dna ludzkich konfliktów sięgającą prawdą o miłości. Wzrusza nas swoją prostotą, daleką wszelkim prymitywizmom, bliską jedynej mądrości słowa poetyckiego: mądrości pięknej. Jednocześnie uczy nas siły związku człowieka z historią, wiary w człowieka, rozumiejącego historię, wiary w człowieka tworzącego historię. A pośrednio uczy nas praw ewolucji poetyckiej, która poparta rzetelnym trudem poszerzonego rozumu i pogłębionego serca wiedzie młodego poetę od brulionowych pomyłek ideowo-artystycznych, poprzez pochylenie się nad konkretem humanistycznym, ku skupionej mowie o najistotniejszej z ludzkich spraw, która musi się wiązać i wiąże się w dogłębnym przeżyciu z najistotniejszą sprawą czasu.

Cieszymy się wraz z Woroszylskim z jego osiągnięcia.

Osiągnięcie to zbogaca powojenną poezję polską tym ładunkiem przeżyć i dokonań poetyckich, których odnotowywanie było — co zaznaczyć warto — szkicowaniem prawidłowej drogi młodego pokolenia, ku poezji bliskiej człowiekowi przez swoją — nazwijmy tak umownie owo humanistyczne pochylenie nad człowiekiem — miarę serca. Ostatnie osiągnięcia Woroszylskiego poszerzają teren zdobyczy młodej liryki polskiej o jeszcze jedno potwierdzenie konieczności związku dojrzałej poezji z dojrzałością serca. To, co szkicował w swoich „Zwierzeniach" Ficowski, co realizował „Wśród ludzi" Kubiak, co na swój sposób w „Reportażu serdecznym", a zwłaszcza w „Nocy narodzin" wyrażał Braun, co z nowego, odkrywczego stanowiska oświetliła Kamieńska w tomie „O szczęściu" czy sygnalizowała Szymborska w zbiorku „Dlatego żyjemy", a mianowicie: poetycki postulat zdynamizowania poezji naszego czasu ładunkiem pogłębionego sercem liryzmu, który jednak umie podporządkować się historycznej wiedzy o rzeczywistości — to w ostatnich osiągnięciach Woroszylskiego doczekało się odkrywczego, na miarę dużego talentu tego poety — wyrazu. W nowym, zdobywczym realizowaniu tego postulatu leży główna wartość przełomu awansu poetyckiego autora „Czasu miłości", jeśli ujmiemy jego sprawę na tle ogólnej mapy sytuacyjnej.

Obiektywnym wyznacznikiem tej nowej roli jest siła ideowo-artystyczna jego utworów, pisanych w nowym okresie ewolucyjnym. Ideowa rzetelność odczytywania historii człowieka i wpisywania człowieka w historię wpłynęła w oczywisty sposób na artystyczną prawidłowość postępowania poetyckiego. Wzmogła się artystyczna czujność poety, wzrosły samokrytyczne wymagania, skrystalizowała się i sprecyzowała w praktycznym samoszkoleniu dążność ku skupionej, klarownej mowie poetyckiej.

Przypominając długą i bolesną listę zarzutów warsztatowych sprzed kilku lat z radością należy stwierdzić, że prawie wszystkie z nich, a jeśli chodzi o „Czas miłości" — chyba wszystkie należą już wyłącznie do tamtego okresu. Zdarza się jeszcze Woroszylskiemu zbyt śmiałe a zarazem zbyt nietwórcze powtarzanie Majakowskiego (jak np. w wierszu pt. „Sprzyfika terenu", w tomie „Ojczyzna", str. 29-33), zdarza się chwilami nawrót do dawnej cwaniackości (jak np. w tym samym tomie „Ojczyzna" w wierszu „Szosa Szczecin — Myślibórz", str. 52-53), ale są to rzadkie już momenty niedopatrzeń. Zasadniczo Woroszylski przezwyciężył swoje dawne błędy. Jego mowa poetycka nabrała jak gdyby powagi, zrównoważyła się, obraz poetycki wyklarował swoje kontury, fraza zdaniowa bardziej skupiła się w sobie, wiersz nie przechodzi już mutacji, zmęczeń, okrzepł.

Nową zdobyczą Woroszylskiego jest poetycka prostota, daleka od dawnego prostactwa i łatwizn. Jest to prostota zwycięska, prostota poetów dojrzałych. Drugą jego zdobyczą jest zwięzłość, oszczędność, mądra ekonomia słowa tak bardzo przeciwstawna dawnemu wielosłowiu. Trzecią istotną zdobyczą poety jest uplastycznienie języka dzięki zastąpieniu dawnych, wieloznacznych i rozdrzapanych metafor obrazem prostolinijnym, lecz mocnym w kolorze, jednoznacznym w swojej komunikatywności.

Najwięcej przykładów, najwyraźniejsze egzemplifikacje przemiany poetyki Woroszylskiego napraszają się pod pióro z „Czasu miłości" Aż żal, że trzeba je wyrywać z kontekstu, tak tam wrosły, tak mocno są z nimi spojone, tak są jednością. Ale przeczytajmy choćby tę jedną strofę stanowiącą samą w sobie część VII poematu. Albo zakończenie części VIII. Albo drugą strofę części IX. Inny to już poeta, dojrzalszy, pogłębiony sercem. Gdy czytamy (w części XII) słowa tak proste, a tak wyraziste:

To, co rośnie, opada jak liście
Zostaje najdroższe, najbliższe.

Albo:

Huragany murów nie ugną.
Nie przekroczy progu nieufność.

Czy:

I gdziekolwiek będziemy — wszędzie
z tobą, ze mną — i dom nasz
będzie.

— nawet w oderwaniu od ciepłego kontekstu muszą zwracać uwagę swoją rzetelną postawą, trafnością wyrazu, siłą skupionego uczucia.

Takim właśnie zaczyna być Woroszylski. I takim przywitać go należy z radością po burzliwej, odkrywczej, lecz w wielu punktach bardzo błędnej wędrówce poetyckiej. Ponieważ nie była to jednak wędrówka pięknoducha, lecz wytężony marsz człowieka, który zna swój cel i cel poezji, możemy na dalsze etapy tego marszu patrzeć już spokojniej i radośniej.

„Czas miłości" bowiem oznaczony jest na mapie tego marszu znakiem głębokiego zrozumienia spraw człowieka wpisanego w sprawy czasu, znakiem rzetelnego trudu poetyckiego, któremu nową rangę i nowy sens nadaje twórca pogłębiony sercem.

Zygmunt Lichniak

Mateusz T. MILEWSKI

Rolnictwo Z.S.R.R. na drodze dalszego rozwoju*)

GOSPODARKA NA WIELKICH OBSZARACH

KORZYŚCI wynikające z gospodarki rolnej na dużych obszarach nie wymagają dłuższego uzasadnienia. Obecnie nauki rolnicze — i to zarówno w krajach socjalistycznych, jak kapitalistycznych — zgodne są co do tego, że racjonalna produkcja rolna możliwa jest tylko w większych warsztatach, podobnie jak produkcja przemysłowa.

W 11 tomie Dzieł Stalina na stronie 95 czytamy: *„Siła wielkiego gospodarstwa w rolnictwie, czy jest to gospodarstwo obszarnicze, kułackie czy też kolektywne, polega na tym, że to wielkie gospodarstwo może stosować maszyny, wykorzystywać zdobycze nauki, stosować nawozy, podnosić wydajność pracy i dawać w ten sposób największą ilość zboża towarowego. I odwrotnie, słabość drobnego gospodarstwa chłopskiego polega na tym, że jest ono tych możliwości pozbawione lub prawie pozbawione i wobec tego jest właśnie gospodarstwem na wpół konsumpcyjnym, w małym stopniu towarowym"*.

W miesięczniku „Agriculture", organie angielskiego Ministerstwa Rolnictwa, wybitny autorytet i doradca fachowy tegoż ministerstwa prof. J. A. Scott Watson w swoim artykule wygłasza taką opinię: *„Postęp w produkcji środków żywności byłby szybszy, gdyby rolnictwo było zorganizowane jak inne nowoczesne gałęzie produkcji — gdyby było prowadzone na wielkich obszarach, pod wysokokwalifikowanym kierownictwem, wyposażone w sprzęt o dużej mocy, a motywami decydującymi byłaby wydajność i chęć zysku. Istnieje, rzeczywiście, wiele gospodarstw rolnych, które zbliżają się do powyższych wymagań, ale na drugim biegunie znajdują się miliony małych gospodarstw chłopskich, gdzie przy analfabetyzmie ludności wiejskiej ciągle jeszcze odwieczna tradycja jest niemal jedynym kierunkiem i gdzie celem materialnym, często bardzo trudnym do osiągnięcia, jest po prostu zapewnienie minimum egzystencji dla rodziny"*.

Z przytoczonej opinii wynika jasno przewaga wielkiego, kapitalistycznego gospodarstwa rolnego nad drobnym gospodarstwem chłopskim. W ustroju kapitalistycznym — im większe gospodarstwo, tym stosunkowo większy zysk dla jego właściciela. Wyższość gospodarki większych warsztatów rolnych polega w pierwszym rzędzie na niższym nakładzie pracy, niższych kosztach produkcji i administracji na jednostkę ziemi uprawnej. Duże gospodarstwo rolne potrzebuje znacznie mniej narzędzi produkcji na 1 ha niż gospodarstwo drobne o takiej samej intensywności, co z kolei powoduje obniżenie kosztów produkcji. Wielkie gospodarstwo rolne pozwala na znacznie dalej posunięty podział pracy, na wyższy stopień specjalizacji personelu, wyższy stopień wydajności pracy, ale — co najważniejsze — pozwala na mechaniczną uprawę roli, na użycie coraz większych i potężniejszych maszyn rolniczych, o których drobne gospodarstwo rolne nie może nawet marzyć.

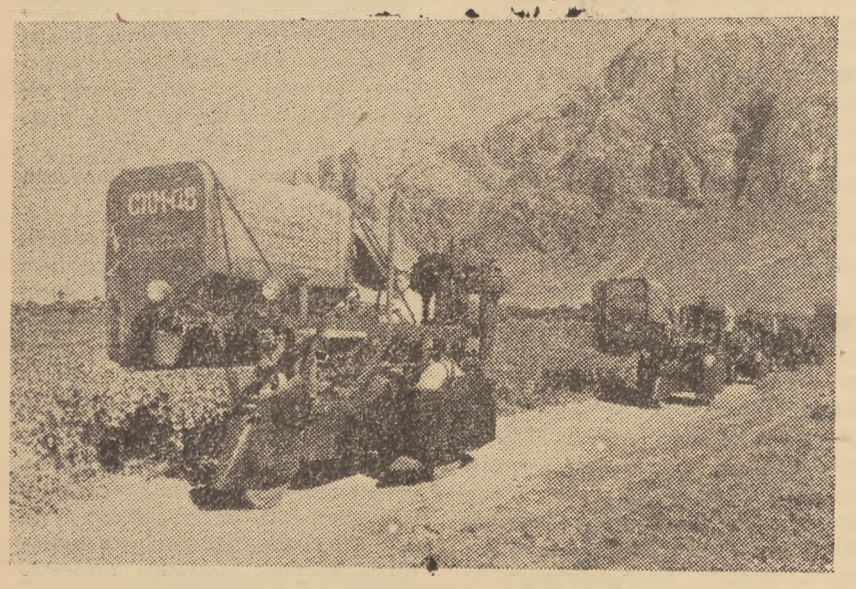

Kombajn do zbierania bawełny

MECHANIZACJA I ELEKTRYFIKACJA ROLNICTWA

OD początków rolnictwa, jakieś 15 tysięcy lat temu, do czasów rewolucji przemysłowej — metody produkcji środków żywności nie uległy żadnej zasadniczej zmianie. Mięśnie ludzi i zwierząt pociągowych były jedynym źródłem energii przy uprawie roli. Dopiero wynalezienie maszyny parowej, silnika spalinowego, motoru elektrycznego, mechanicznej żniwiarki i młocarni — zmieniło zasadniczo technikę rolniczą. Ale dopiero zwycięstwo ustroju socjalistycznego ZSRR, dopiero stworzenie rolnictwa socjalistycznego, gospodarującego na wielkich obszarach sowchozów i kołchozów, opartego o dobrze wyposażone stacje maszyn i traktorów — pozwoliło na pełne wykorzystanie całej nowoczesnej, ciągle rozwijającej się i ulepszanej techniki dla produkcji płodów rolnych.

Przejście od prymitywnej i zacofanej do mechanicznej uprawy roli nie mogło nastąpić z dnia na dzień, a musiało odbywać się stopniowo. Na mechanizację produkcji rolniczej składa się cały kompleks zagadnień, które muszą być rozwiązywane równolegle i równolegle posuwane naprzód, ponieważ od rozwoju jednej dziedziny zależy rozwój wszystkich pozostałych. Zmechanizowane rolnictwo musi posiadać kadry wysokokwalifikowanych specjalistów, musi posiadać liczny i różnorodny park maszynowy, który z kolei musi opierać się o potężny przemysł budowy maszyn rolniczych, musi posiadać dostateczne źródła energii elektrycznej i materiałów pędnych.

Przebudowa rolnictwa radzieckiego nastąpiła już przed wojną. W 1938 r. 3/4 ornej ziemi uprawiane były przez 483 tys. traktorów i 151 tys. kombajnów i setki tysięcy innych maszyn rolniczych. Park maszynowy rolnictwa radzieckiego poniósł olbrzymie straty w czasie wojny, ale dzięki szybkiemu rozwojowi przemysłu radzieckiego w okresie powojennym nie tylko uzupełniono straty z okresu wojny, ale poziom mechanizacji rolnictwa zrobił olbrzymie postępy. Produkcja traktorów w 1950 r. wzrosła w porównaniu z r. 1940 3,8 razy, kombajnów 3,6 razy, pługów traktorowych 3,1, siewników traktorowych 5,5, kultywatorów traktorowych 3,1 razy. Ogólna moc parku maszynowego rolnictwa wzrosła w porównaniu z okresem przedwojennym o 59 proc., a kombajnów o 51 proc.

W związku ze znacznym powiększeniem mechanizacji prac w gospodarce rolnej i leśnej rozbudowano w okresie powojennym sieć stacji maszynowo-traktorowych, oraz zorganizowano nowy typ ośrodków maszynowych dla mechanizacji prac przy zakładaniu ochronnych pasów leśnych, stacji melioracyjno-łąkarskich, dla mechanizacji prac przy osuszaniu gruntów i prac pracochłonnych w gospodarce hodowlanej. Łącznie utworzono 1546 nowych ośrodków maszynowo-traktorowych, a ogólna liczba wszystkich stacji wynosiła w 1952 r. 8939 wobec 7069 w r. 1940.

Nie tylko jednak rozszerzyła się sieć stacji technicznej obsługi rolnictwa. W latach powojennych radzieckie fabryki maszyn rolniczych produkują coraz to nowe, technicznie coraz doskonalsze maszyny. Po wojnie oddano do masowej produkcji ponad 150 maszyn rolniczych o zwiększonej wydajności. Spośród nowych maszyn należy przede wszystkim wymienić kombajn „Staliniec — 6", który kosi zboże bardzo nisko, co pozwala na włączenie do agregatu narzędzi, które jednocześnie ze sprzętem zboża dokonywają łuszczenia ścierniska. Ponadto kombajn zaopatrzony jest w urządzenie do oddzielnego gromadzenia słomy i plew, a razem z plewami zbiera nasiona chwastów.

W roku 1952 fabryki radzieckie wprowadziły do gospodarki rolnej szereg kombajnów, z których najciekawszy jest trójrzędowy kombajn „SKEM—3" do sprzętu buraków, dzięki któremu kołchozy zaoszczędzą 15 mln. dniówek roboczych. Maszyna ta zdała już egzamin w praktyce. Wykopuje ona buraki, obrzyna liście i odkłada je osobno od korzeni. Kombajn do zbioru kukurydzy zrzyna łodygi, obrywa z nich kaczany, oczyszcza je, łodygi zaś tnie drobno i miażdży dla zakiszenia w silosach. Kombajn do sprzętu lnu „LK-7" wyrywa len z ziemi z garści główki, wiąże słomę lnianą w snopki, zaś główki z nasieniem wysypuje do worków.

Historycznym osiągnięciem radzieckiego przemysłu budowy maszyn rolniczych jest budowa kombajnu do sprzętu bawełny. W radzieckich uprawach bawełny już przed wojną zmechanizowano wszystkie czynności za wyjątkiem sprzętu. Przez wprowadzenie kombajnu SChM—48, który zastępuje pracę 25—30 zbieraczy, uprawa bawełny w ZSRR przeżywa historyczny okres mechanizacji zbioru. W 1950 roku pracowało już 3 tysiące tych kombajnów, a obecnie fabryka maszyn rolniczych w Taszkiencie im. Woroszyłowa udoskonala nowe modele.

Dla realizacji planu zalesiania skonstruowany został specjalny pług do wykopywania sadzonek WP—2, który wykopuje bez uszkodzenia sadzonki drzew, które następnie ze szkółki przesadzane są na pasy leśne. Sadzenie drzewek jest całkowicie zmechanizowane — dokonuje go maszyna do sadzenia lasu SLCz—1.

Uniwersalna maszyna do uprawy winnic WUM—60 przeprowadza szereg skomplikowanych operacji: orze, spulchnia ziemię, wyręcza kultywator a także wprowadza do gleby nawozy mineralne

Równolegle z mechanizacją rozwija się elektryfikacja rolnictwa. Znane słowa Lenina: *„Komunizm to władza radziecka plus elektryfikacja kraju"* — realizowane są po wojnie w stale rosnącym tempie.

Najważniejszym źródłem energii dla elektryfikacji kołchozów są małe rzeczki miejscowe. Tam gdzie nie ma tego źródła, buduje się elektrownie cieplne, opalane miejscowym paliwem, jak węgiel brunatny, torf, gaz ziemny, odpadki z tartaków, a w wyjątkowych wypadkach drzewo.

W przodujących kołchozach i sowchozach energia elektryczna wykorzystywana jest w 30, 40 różnych rodzajach produkcji i potrzebach życia codziennego kołchoźników. Najbardziej rozpowszechnioną formą użycia energii elektrycznej jest młocka. Dzięki równomierności pracy silnika elektrycznego młocka elektryczna przyśpiesza omłot, zmniejsza stratę ziarna i podnosi średnią wydajność młocarni o 20 proc. w porównaniu z napędem traktorowym i o 40—50 proc. z napędem konnym.

W kołchozach i sowchozach otrzymujących tanią energię elektryczną z wielkich elektrowni, jak np. Dnieprostroj, jest ona wykorzystywana w warzywnictwie do napędu pomp służących do wytwarzania sztucznego deszczu i międzyrzędowego polewania roli.

Traktor elektryczny jest w stadium prób od pierwszych lat rewolucji, ponieważ Lenin osobiście interesował się tym zagadnieniem i przywiązywał duże znaczenie do orki elektrycznej. We wrześniu 1921 roku osobiście oglądał próbę jednego z nich na chutorze Butyrskim pod Moskwą. Obecnie traktory elektryczne STZ — NATI o mocy 30 KW używane są na trzech stacjach maszynowych w obwodach riazańskim, kijowskim i świerdłowskim. Eksploatacja ich wykazała, że mają przed sobą wielką przyszłość.

WYKORZYSTANIE ŚRODOWISKA GEOGRAFICZNEGO

WYŻSZOŚĆ planowanej socjalistycznej produkcji rolnej nad chaotyczną produkcją kapitalistyczną polega na tym, że w gospodarce planowej cały obszar kraju można traktować jako jedno gospodarstwo rolne, że można stosować geograficzny podział pracy, a także centralnie i racjonalnie gospodarować skarbami przyrody.

Wyższość ta ukazuje się w szczególnie wyrazistej formie w wielkim planie przeobrażenia przyrody uchwalonym przez Rząd Radziecki w październiku 1948. Wykonanie jego ma potrwać 15 lat (1949—1963), ale na podstawie osiągnięć pierwszych czterech lat można być pewnym, że plan będzie wykonany przed terminem. W roku 1950 Rząd Radziecki powziął dalszą uchwałę o założeniu leśnych pasów ochronnych w Kraju Zakaukaskim i republikach centralnej Azji.

Warunki geograficzne ZSRR są raczej niekorzystne dla rozwoju rolnictwa. Mniej więcej połowa całego obszaru położona jest na północ od 63 równoleżnika albo na wysokich płaskowyżach Centralnej Azji, gdzie panuje surowy klimat kontynentalny. Wielkie obszary na południu zajmują pustynie, półpustynie i suche stepy. Syberia na wschód od Jenisieju — to niedostępne łańcuchy górskie, kraj tundry i tajgi.

Związek Radziecki ma dwie naturalne granice dla rolnictwa: na dalekiej północy bardzo krótkie lato ogranicza okres wegetacji i uprawy, wczesne mrozy bardzo często niszczą cały urodzaj; na południu znajduje się granica posuchy, gdzie niedostateczna ilość i wielka nieregularność opadów atmosferycznych jest wielkim ryzykiem dla rolnictwa. Klimat umiarkowany występujący w Rosji środkowej i południowej i w południowo-zachodniej Syberii przedstawia najbardziej kontynentalną odmianę z krótkim okresem wegetacji, zamkniętym między majowymi roztopami śniegu a pierwszymi mrozami października. Wiatry zachodnie, przynoszące Europie wilgoć z Atlantyku, docierają do głębi Rosji już bardzo osuszone.

Największą bolączką radzieckiej gospodarki rolnej jest fakt, że najurodzajniejsze obszary stepowe nawiedzane są przez dwie klęski żywiołowe: posuchę oraz erozję wodną i powietrzną, które są spowodowane wysuszającymi wiatrami wschodnimi, tzw. suchowiejami. Podczas lata południowe ziemie ZSRR wyparowują od 5 — 10 razy więcej wody niż jej otrzymują w formie deszczów. Okresy posuchy powtarzają się mniej więcej regularnie co kilka lat. W ciągu ostatnich 60 lat posucha nawiedziła brzegi Wołgi 20 razy, Ukrainę 10 razy. W przeciwieństwie do posuchy nękającej periodycznie i gwałtownie, erozja działa stale i bez przerwy i — jak rak — toczy powierzchnię ziemi.

Naukę o prawidłowym wykorzystywaniu środowiska dla celów rolnictwa w odniesieniu do walki z posuchą w najbardziej skończonej formie opracował akademik W.R. Wiliams, twórca trawopolnego systemu rolnictwa. Jednym z zasadniczych elementów tego systemu jest projekt leśnych pasów ochronnych sadzonych na działach wodnych i granicach pól uprawnych. Pasy leśne zmniejszają szybkość wiatru, podnoszą wilgotność powietrza, opóźniają tajanie śniegu na wiosnę, przez co podnoszą wilgotność gleby i poziom wód gruntowych, wzbogaca-

(Dokończenie na str. 8)

Nowoczesny transporter ładuje buraki cukrowe na samochody
Zdjęcia C.A.F.

*) Dokończenie artykułu z numeru 36 (406) pt: „Z.S.R.R. — kraj przodującego rolnictwa".

Leszek PROROK

WIELKI

NA wieżę wspinali się twarzą na przeciw słońcu. Instruktor Pawlicki i ich trzech. Łodzianin Maliniak, silny jak niedźwiedź, sapiący przy każdym wysiłku, jak miech, po nim nieznany milczący dziewiarz z Poznania i Henryk Durnaj, z dłonią zaciśniętą kurczowo na barierze. Instruktor prowadził każdego krok w przód i w bok, by wyznaczyć wielkość pomostu. Wieża chwiała się lekko, a od jeziora płynął słaby podmuch i chłodził rozgrzaną skórę.

— Stoimy sześć metrów nad wodą. Można skakać bez obawy — głęboko! — rzucił od niechcenia Pawlicki.

Maliniak namacał deskę, umocowaną na środku pomstu. Tamten poklepał go po szerokich barkach.

— O właśnie! Trzy kroki naprzód po tej desce. Potem odbić się; nogi wyrzucić do tyłu, w górę. Głowę w ramiona — i do wody! A może się odważycie? Wcale nie tak trudne, jak się wydaje.

Maliniak cofnął się pół kroku wstecz, a Henryk zacisnął jeszcze sil niej dłoń na poręczy. Belki skrzypiały cicho w wiązaniach.

— Nie, to nie. — Zgodził się dobrodusznie instruktor. — Zobaczycie, że przed końcem turnusu namówię każdego. Jeszcze będziecie mi wdzięczni.

— A co stąd widać? — Zaciekawił się nagle dziewiarz. Henryk usłyszał ten głos z bliska i zdziwił się, że jest tyle młodszy od znużonych ruchów, które wyczuwał przed sobą na drabinie, gdy się wspinali na wieżę.

— O, dużo więcej, niż z przystani. W tej stronie — Giżycko. Czerwone dachy na tle zieleni drzew. W środku miasta sterczą gęsto ruiny. Widać też wylot kanału niegocińskiego. A z drugiej — szmat jeziora Mamry. Pozawijane, pokręcone, jakby kto w złości nasupłał.

Jakże inaczej wygląda stąd świat, myśli Henryk, wsparty na barierze. Każdy odgłos ściszony, oddalony — a wszystko zaprawia jednostajny poszum, jakiego na dole, wśród krzaków i drzew nigdy się nie dosłyszy. Otwarta przestrzeń szumi jak muszla morska, przytknięta do ucha. Ruchliwe, płochliwe pluski drobnych fal zlewają się tu w nieustanny daleki chór.

Ktoś parska u podnóża wieży, wali ramionami w wodę, jak kołem młyńskim. Maliniak rozciągnął się jak długi na pomoście. Wychyla głowę w dół i krzyczy: — Hej, hej! Który tam? Uważaj, bo na ciebie skoczę.

Skoczyć? Na samą myśl dłoń kurczowo ściska chwiejny drąg, jedyną ostoję. Obudzona niepewność — ostra przyprawa inwalidztwa — płoszy serce. Jakże daleko ta woda. Sześć metrów to puste słowa. Zdyszany głos pływaka dobiega jak z otchłani: — Skacz, bracie! Tylko prosto na plecy. Dowiozę cię do brzegu.

Chlupot wody spienionej pracą nóg i rąk oddala się, a na pomoście wieży zalega milczenie. Wszyscy wsłuchują się w przestrzeń. Ma ona własny, urozmaicony krajobraz. Za plecami odgłosy różnolite, nieraz skłócone ze sobą, zawsze jednak wyraźnie rozdzielone. Łoskot siekiery z obozu. Szczekanie psa w oddali. Sygnał samochodowy — pewno w Giżycku. Brzegiem rozlega się koleżeńskie chlupotanie, okrzyki i śmiech, jak zawsze w czasie kąpieli. Za to przed wieżą przestrzeń otwarta, z której podmuch niesie ów niepokojący poszum ściszony i rozlewny — jezioro! Zdaje się, że żaden samodzielny, zuchwały odgłos nie rośnie na tej pustyni dźwięków. A jednak właśnie z tej strony wyłania się po chwili coś niby stłumione tykanie zegarka. Tężeje nieznacznie i odmierza dal.

— Statek z Węgorzewa — przerywa milczenie Pawlicki — Czas już schodzić. Popluskamy jeszcze trochę i do obozu! Pomyślcie chłopcy o skokach. Za kilka dni zaczniemy.

Na stromym zboczu ścieżka z przystani do obozu przechodzi w schodki. Poprzeczki z desek, wsparte o proste kołki, hamują spadek ziemi i formują z niej stopnie. Niejeden kołek jest już obluzowany, niejedna deska chybocze zdradziecko, przepuszczając szczeliną grudki ziemi i żwir. Przy mocniejszym stąpnięciu kamyki spadają niżej z głuchym stukotem, ni to jak ostrzeżenie, ni to jak drwina z czyjejś niezręczności.

Przebiega się tędy codziennie wiele razy: do mycia, do pływania, do kajaków i łodzi. W pierwszych dniach obozu czaiła się tutaj nieżyczliwa przeszkoda. Zwalniało się kroku, a wysunięte stopy badały uważnie wykroty kołków, wypłukane przez deszcze. Po kilku dniach znajomość ze ścieżką, pełna ostrożnej rezerwy, przerodziła się w przyjazną zażyłość. Uszkodzenia stopni przestały razić, jak wady, do których można się przyzwyczaić. Więcej nawet — stały się źródłem zadowolenia. Pierwszy wyraził je głośno Stefan Maliniak: — No, proszę! Deski ruszają się pod nogami, a my biegniemy jak po stole i nikt się nie potknie. To ci dopiero frajda!

Na tych to schodkach Henryk zwolnił kroku i odbił od grupy. Zmieszany gwar przed nim osiągnął już krawędź wysokiego brzegu i zniknął za nią, głosy bowiem przycichły nagle, jakby kto przeciągnął zasłonę. Przystanął i, wsparłszy nogę na ruchomym kołku, wiercił nim w ziemi do wtóru gorzkim myślom, które podobnie świdrowały w nim samym od tamtych słów na skoczni. Cóż warte pływanie, cóż warte obycie z wodą, jeśli myśl o jeziorze z góry poraża całe ciało obawą? — A gdybym się pośliznął? Gdyby któryś potrącił niechcący?...

Wodo — przyjaciółko!... Tak powiedział w myśl do fal, rozkolebanych sennie w słońcu, gdy go po raz pierwszy uniosły. A przecież przyjaźni takiej nie zdobywa się od razu. Jeszcze w Szczecinie, zawieszony na drążku instruktora pływalni, walczył długo z poczuciem, że w wodzie przy było mu naraz rąk i nóg w dwójnasób. Każda niesforna, skłócona z rodzeństwem ciągnęła w swoją stronę. Pogodziły się po długich wysiłkach.

— Heniu! Gdzie jesteś? Heniuuu! Czy ci się coś stało? — Od namiotów biegł Leon, przewodnik grupy. Zamyślony maruder poderwał się i w kilku skokach przebył resztę schodów. Omijał odpowiedź półsłówkami, gotów za swe opóźnienie przyjąć z pokorą zarzut niekarności. Gdy coś dotkliwie gryzło w sercu, wolał unikać zwierzeń, nim sam się ze wszystkim nie upora. Nie łatwo decydował się na wybor powiernika.

*

— Czy mógłbym z panią doktor pomówić?

— Śmiało, chłopcze! Mamy godzinkę czasu do ogniska. Wystarczy na krótki spacer.

W słowach doktor Alicji dźwięczy zawsze energia i coś, co każe przyśpieszyć kroku — jakby koleżeńska zachęta do obozowych zajęć. Przyjaciółka niewidomych mówi młodym po imieniu, choć zna ich — poza grupą poznańską, z którą przyjechała — zaledwie od początku sierpnia. Zażyłość, jaką łączy ją ze wszystkimi, wypływa może z niesłabnącej nutki zainteresowania. Każdy odszuka je dla siebie w niskim, głębokim głosie lekarki.

— Tak mi jakoś... — mruczy niewyraźnie Henryk. Wie, że źle zaczął i że tego zdania nie skończy. Zapewne odczuwa to również pani Alicja, gdyż nie przerywa milczenia.

Idą krawędzią urwiska. Ścieżka, wydeptana w trawie, zakręca w stronę zagajników na wzgórzach. W ciepłe dni sosny sieją tu aromatyczną woń. Na obozowej łączce przygotowania do ogniska. Chór ćwiczy od kolacji dziarską piosenkę o kłopotach, jakie miał z córkami stary młynarz ze Zgierza. Z jeziora dolatuje terkot motorówki.

— Może ja wszystko od początku... — postanawia Henryk po dłuższej chwili. — Ja, pani doktór, wzrok straciłem przed siedmiu laty, w kampanii pod Budziszynem. Odłamek uderzył z z boku i jedno oko wypłynęło. Odcięty byłem od swoich i jak się wreszcie do szpitala dostałem, musieli i drugie oko wyjąć, bo coś się tam wdało... Z początku bardzo ciężko mi było. Potem szkoła... praca...

Przystanął, żeby nadać wagi mocniejszemu słowu.

— Na siebie i na matkę zarabiam. Już dawno. Od czasu, jak ojciec umarł. Od roku pracuję w szczecińskim „Szczotkarzu". Ale ze sobą do ładu wciąż nie mogę dojść. Starszemu może łatwiej, ale ja. Dwadzieścia cztery lata. Jak tu żyć, kiedy człowiek ściśnięty, jak w klatce. Bo ciemność to jak klatka. Boisz się za daleko nogę czy rękę wysunąć, żeby nie zawadzić. Żyjesz stale jak skurczony.

Kobięta odsunęła się na krok, by ogarnąć prostą jak strzała sylwetkę i ciemną, opaloną twarz. Ostatnie promienie słońca w tym dniu ubarwiły mu gęste włosy miedzianym połyskiem. Ruchami i postawą zdawał się przeczyć gorzkim słowom, które wydobywały się z trudem z krtani.

— Czy można żyć ze skurczoną duszą, pani doktor?

Ileż podobnych rozmów odbyła, choć dziś innym nieco kształtem brzmiały słowa, w które przyoblekł tę samą myśl smukły, zasępiony chłopiec. Starała się swój niski głos uczynić jak najbardziej miękkim. Niech się nie cofnie, niech wyrzuci ze siebie wszystko, co dręczy.

— Pomyśl, Heniu, o naszym obozie. Sami niewidomi — a czy napotkasz u kogo stały lęk, napięcie, obawę przed światem. Tutaj nad jeziorem można chyba odrzucić wszystko, rozprężyć się dowoli — mięśnie, myśli, nastroje...

Ja rozumiem — ciągnie Henryk bardziej może do siebie, niż do towarzyszki — Trzeba się przemóc. Ale przemóc się w myśli to mało. Trzeba przemóc się w codziennym życiu. Nie wychodzi mi to jakoś i może dlatego marzyłem o takim obozie jak nasz. Przede wszystkim o wodzie... Pani nie ma pojęcia, jak mnie woda pociąga. Gdy w Szczecinie zacząłem pływać, matka cieszyła się bardzo, że jestem spokojniejszy. Sama mnie prowadziła na basen. Bo przedtem gryzłem się i zupełnie nie mogłem dać sobie rady.

— No widzisz. A teraz związek zamierza wprowadzić we wszystkich ośrodkach gimnastykę. I tu ćwiczymy przecież rzuty, skoki, a nawet biegi.

— To wszystko nic nie znaczy w porównaniu z wodą. Dopiero ona daje swobodę. Jak tylko odpłynę od brzegu wiem, że jestem wolny. O nic nie zawadzę. Na ulicy czy w warsztacie człowiek ciągle kurczy się w sobie, choćby tego nikt nie dostrzegał. Z obawy. Jak ślimak, gdy go dotknąć. A taka czujność męczy. Tu folguję sobie za cały dzień, ba, za cały rok.

— Dlatego was z wody wygonić nie można — zaśmiała się lekarka. Wyznanie to odkryło jej niespodziewanie przyczynę anarchii, jaką nieraz gromiła w czasie wypraw na jezioro.

Wypływali całym obozem. Pękate hamburki, wyścigowa czwórka ze sternikiem — duma obozu i stadko kajaków, nad którymi miała nieraz sprawować opiekę. W każdej dwu-, trzyosobowej załodze był ktoś z resztką wzroku. Na środku sennych wód zwinne kajaki pierzchały na wszystkie strony. Zostawała na pękatej „Dianie" jak kura, której uciekły wysiedziane kaczęta. Kołowali na wszystkie strony, nie nasyceni rozkoszą pełnej swobody, nie związani pasami chodników, ryzykiem jezdni, przeszkodami nieoczekiwanych latarń i wrogich słupków, nie hamowani ostrzegawczym stukiem laski o krawężnik. Tu każdy kierunek był dobry, każdy ruch wiosłem dozwolony, aż do upragnionej pełni, która zdawała się otwierać we wnętrzu człowieka ostatnią zaporę energii, spętanej kalectwem. O sąsiednim kajaku ostrzegał radosny uśmiech. Częste szuwary dawały jeszcze jedną radość. Kajak grzązł w szeleszczącym lesie trzcin. Furkot wy-

Janusz KOZŁOWSKI

Sierpniowe spotkanie

Pamięci Kornela Makuszyńskiego

SŁONECZNE popołudnie. Powietrze nabrzmiałe gorącem migotało i drgało. Na brudne i obdrapane kamienice ulicy Pańskiej kładły się złote światła. Od szyb okiennych bił oślepiający blask. Przejeżdżające z rzadka pojazdy pozostawiały na asfalcie wyciśnięte desenie opon. Leniwe gołębie szybowały ponad dachami nie zadając sobie nawet trudu pomachania skrzydłami. Ludzie snuli się ospale tu i tam. Sprzedawcy wychodząc przed sklepy ocierali pot z czoła. Na twarzach wszystkich widać było znużenie i apatię. Tylko jakiś mikroskopijnej wielkości piesek atakował zawzięcie staruszkę drzemiącą na stołeczku przed bramą domu. Mimo nicznośnego upału przyśpieszałem kroku. Pozostało jedynie 10 minut do rozpoczęcia występu. A mimo twardych i najeżonych niebezpieczeństwami warunków okupacyjnych cotygodniowe wieczorki, a właściwie popołudnia, poświęcone muzyce i literaturze rozpoczynały się z zadziwiającą punktualnością. Organizatorami i zarazem wykonawcami tych występów byli uczący się na tajnych kompletach studenci polonistyki, konserwatorium i PISTu. Chopin, Moniuszko, Karłowicz, Szymanowski, Wieniawski, Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Prus, Sienkiewicz, Żeromski, Orzeszkowa... — cała plejada zakazanych i ściganych przez hitlerowców autorów, oto najczęściej grani, deklamowani i recytowani twórcy.

Będąc jednym z wykonawców tej imprezy, prawie biegłem, by się nie spóźnić, czując jednocześnie, jak pot strugami spływa mi po plecach, a ciężka, wypchana nutami teczka ślizga się w dłoni. Miałem właśnie w pośpiechu dość żwawo idącego starszego mężczyznę, gdy z bramy wybiegła mała dziewczynka. Miała chyba nie więcej niż sześć lat. Dwa warkoczyki zaplecione po bokach główki sterczały śmiesznie, jak dwa krótkie ogonki. Złapała nieznajomego za kraj marynarki, a w moją stronę zwróciła bardzo poważną blada twarzyczkę, w której czerniały ogromne ciemne oczy. „Nie iść tam" — pisnęła cieniutkim głosikiem. Stanęliśmy obaj, zaskoczeni, spoglądając pytająco na dziecko. „Tam łapanka" — jednym tchem wyrzuciło z siebie maleństwo.

Podniosłem wzrok na trzymanego dalej mocno za połę mężczyznę. Powoli zdjął kapelusz. Wtedy go nagle poznałem. Tak. To był Makuszyński. Wpatrywał się w stojącą przed nim drobną istotkę. Oczy miał pełne łez, które dwiema strugami spływały po policzkach. Nagle chwycił dziewczynkę w ramiona. „Biedne, kochane, najdroższe polskie dziecko" — szeptał. Spojrzał na mnie. „Mało dziewcze — rzekł — nawet w takich czasach, jak dzisiejsze, to, cośmy obaj przeżyli w tej chwili, jest wielkie i wzruszające. Takich rzeczy się nie zapomina". — „Takich rzeczy nie można zapomnieć, Mistrzu" — odparłem nie spuszczając oczu z tych dwojga. Po jego wzroku poznałem, że zrozumiał, iż wiem, kogo mam przed sobą. Uśmiechnął się do mnie nadal tuląc dziecko. Tworzyli grupę na wpół piękną, na wpół komiczną. Obejmowali się bardzo czule. On przyciskał usta do jej małego warkoczyka, ona gładziła go raczką po lśniącej łysinie. Kapelusz walał się na chodniku. Podniosłem go. „To nic, to nic — mówiła mała uspokajającym tonem — moja mamusia też płakała. Ze strachu" — dodała z dumą. Pocałował ją w czoło i postawił na ziemi. „Wejdźmy lepiej do bramy — powiedział — tu nie wiadomo co może być za kilka minut. Gdzie mieszkasz?" — zwrócił się do małej, gdy byliśmy już w sieni. „Tu" — pokazała drzwi z napisem „Dozorca". „A bajki lubisz?" — pytał dalej pisarz gładząc dziecko po głowie. — „O...O...o". Ten okrzyk i wyraz oczu wystarczył. „Napisze ci najpiękniejszą z wszystkich bajek. Bo prawdziwą. O takiej dziewczynce, która uratowała życie dwu ludziom. A na imię miała... No? Jak miała na imię?" Drobne rączki dziecka wodziły po brudnej, wymalowanej olejną farbą ścianie, oczy wyrażały najwyższy zachwyt. „Jakże ona mogła mieć na imię?" — Makuszyński drapał się za uchem udając zakłopotanego. „Genia — szepnęła dziewczynka". „Więc będzie to bajka o Geni... dla Geni?" — ujął małą pod brodę serdecznie patrząc jej w twarz. „Tak" — odpowiedziała uśmiechając się ufnie.

W tym momencie z ulicy klasnął strzał. Potem drugi, trzeci. Potem sieria. Do bramy napływać zaczęli uciekinierzy, rozpraszając się po klatkach schodowych. I my dołączyliśmy do nich, gubiąc się jednak zarazem. Jeszcze tylko w drugiej bramie mignął mi, zdaje się, jasny kapelusz pisarza.

Naturalnie, wieczorek rozpoczęliśmy z półtoragodzinnym opóźnieniem. Byliśmy też zmuszeni do zmiany programu, ponieważ Leszek (mój dawy kolega szkolny jeszcze z „Mickiewicza"), który miał wygłosić referat o Młodej Polsce, nie przyszedł. Nie zobaczyliśmy go już nigdy. Pochłonęła go okupacyjna warszawska ulica, jak tylu przed nim i jak tylu po nim.

W chopinowskich preludiach i nokturnach, należących do części muzycznej wieczoru, usłyszałem i wyczułem pod palcami rozpacz pożegnań nie rozjaśnionych nawet błyskiem nadziei.

Na zakończenie opowiedziałem zebranym o dziecku, które Kornela Makuszyńskiego uratowało od łapanki.

Było to dziesięć lat temu. I przyznam, że po zakończeniu wojny na próżno szukałem jakiejkolwiek wzmianki o tym zdarzeniu podpisanej przez poetę.

Dopiero, gdy z głębokim smutkiem ujrzałem na łamach czasopism nazwisko Makuszyńskiego w żałobnej obwódce, zrozumiałem, że wzmianka ta nie ukaże się nigdy.

Dlatego sam biorę pióro do ręki, jako jedyny świadek chwili, która prawdopodobnie zadecydowała o jeszcze dziesięciu latach życia autora „Bezgrzesznych lat".

Janusz Kozłowski

S K O K

straszonego ptactwa budził nawoływania: Widzicie! Kaczki, kaczki! Nie można było pozbierać wszystkich, gdy nadeszła godzina powrotu. Doktor Alicja witała ją z ulgą.

Słońce zaszło i nadpłynęła fala chłodu. Osłabł świergot ptasi, wzmógł się natomiast szum sosen. W oddali chór wydawał po kolei córy młynarza za przedstawicieli różnych rodzajów broni. Niektóre zwrotki płynęły po raz drugi i trzeci — w dążeniu do doskonałości.

— Myślałem, że jeśli na wodzie dam sobie radę ze wszystkim, nie jest ze mną tak źle. Dlatego starałem się o wyjazd na obóz jak o ratunek. I wszystko tak dobrze szło, aż naraz ta wieża...

Zaczął nerwowo zwierzać się z przeżyć i obaw, jakie zrodziły się na chwiejnym pomoście. Przeplatał je często pełnym bezradości słowem: boję się. Trudno — ale tak jest. Boję się!

— Ależ dlaczego — sprzeciwiła się doktor Alicja — Przecież codziennie skaczecie przy myciu z pomostu do wody.

— To zupełnie coś innego. Pół metra najwyżej. Jeśli klęknąć na pomoście, można sprawdzić ręką, że woda jest tuż obok. A tam nie wiem nic — przepaść. Nie umiem sobie tego wyobrazić. Gdybym choć pływał i skakał przed utratą wzroku...

— Pani wie — przystanął raptownie — jeden płynął pod wieżą, gdyśmy tam byli. Głos jego brzmiał z oddali, tak że mi ciarki po skórze przeszły. Ech... — Machnął ręką z żałością. Znów szedł dłuższą chwilę w posępnym milczeniu. — A teraz boję się, że jeśli nie skoczę, wszystko, co zdobyłem, znów się rozsypie. I obóz także. Człowiek musi iść w górę. Jeśli stanie na chwilę, coś go w dół ciągnie. Znam to dobrze. Tak ze mną było.

— Więc skocz! Musisz się odważyć.

— Jakbym chciał. Ale nic z tego. Żaden z niewidomych nie skoczy. Zobaczy pani. My nie możemy oderwać się od oparcia, choćby tak chwiejnego jak ta wieża. Nie!

Ścieżka urywała się w gęstwinie zagajnika. Łamali już łokciami gałązki. Wyższe raz po raz siekły szpilkami w policzki. Z niektórych drzew wysuszone igliwie sypało się na ubranie i włosy. Trzeba było zawrócić.

— A instruktor, Heniu? On widzi za ciebie i wie, że podołasz. Czy mu nie ufasz?

Nie odpowiedział od razu.

— Cały nasz obóz opiera się na zaufaniu. A przecież to wielka rzecz. Pierwszy w Polsce sportowy obóz niewidomych.

— Ja doceniam wagę zaufania, pani doktor. Przecież w mieście też korzystam z czyjejś przysługi i ufam nieznajomemu, że mnie dobrze przeprowadzi przez ulicę czy poda właściwy numer tramwaju. Ale tam zależę też od siebie. Mogę się cofnąć, mogę nie posłuchać. Idę i trafiam sam. Reszta to dodatek. A tu — sam nie wiem, jak to wyrazić. Tu musiałbym uwierzyć komuś bez reszty. To nie jest łatwe.

.....I skoczyła do wody wprost w ramiona sapera..." — grzmiały głosy nadlące. Zaśmieli się z losu ostatniej ofiary, który tak niespodziewanie wtargnął w ich rozmowę. — Odważ się, Heniu. I nie żałowała. Głowa do góry! Jutro znów wybierzesz się na skocznię. Zobaczysz, że ci się wyda mniej groźna. Chętnie bym sama skoczyła, żeby ci dać przykład, ale to już nie na moje lata. A teraz dość rozmowy o tym. Tak będzie lepiej.

— Dziękuję pani bardzo. Ja naprawdę chciałbym... Ale nie wiem. Tylko proszę nikomu nie mówić.

— Jasne. To sprawa między nami. Ja ci też dziękuję za zaufanie. A teraz daj ramię. Musimy się pośpieszyć. Już się ściemniło na dobre. Gwiazdy błyskają nad jeziorem. Zaraz zapalimy ognisko.

Bez protestu zgodził się na zmianę tematu. Pani Alicji nikt się nie przeciwstawiał.

— A co teraz widać? Idziemy przecież do jeziora. Ścieżka zaraz powinna zakręcić.

— Świetnie się orientujesz. Co widać? Gwiazdy. Przypominają mi okruchy jakiegoś wiersza o wodzie. Umiałam go kiedyś.

„Wodo! Wodo!

Która rozpalasz snopy gwiazd nad otchłaniami..."

— Spadła gwiazda, Heniu, gdy mówiłam. Zupełnie tak, jakby wpadła w jezioro za cyplem, który zawsze omijamy. Gwiazdy są ciche, więc wpadła bez plusku. Niektórzy ludzie wierzą, że życzenie wypowiedziane w takiej chwili, na pewno się spełni. Wiesz, czego ci życzę?

— Wiem. Żebym się odważył... i skoczył.

— Nie tak. Żebyś zawsze, jak to ładnie nazwałeś, szedł w górę. Wszystko inne zmieści się w tych słowach. A teraz, co ci mam jeszcze powiedzieć o naszym jeziorze? Nad Gizyckiem wzbiera leciutka mgiełka i mieni się w blaskach świateł. Coś podobnego pamiętam z tamtego wiersza ...„która z pozachodowej sennych wód roztoczy, wiejesz srebrnym tumanem liliowej mgły..." Dlaczego ściskasz rękę, głuptasie?

W odpowiedzi grało wzruszenie żywe, niepodobne do strapienia i smętku sprzed chwili.

— Ach, ja... ja jeszcze trochę pamiętam barwy... Zobaczyłem to wszystko... dziękuję.

*

NASTĘPNE dni upłynęły Henrykowi w nie dającym się odpędzić podnieceniu. Rozterka towarzyszyła mu przez cały dzień. Mąciła radość kąpieli, urywała w pół słowa rozpoczęte zdania, chmurzyła czoło w czasie ćwiczeń gimnastycznych, odwracała uwagę od słów lektorki, czytającej podczas popołudniowego wypoczynku.

Odważyć się i skoczyć! W myślach — zwłaszcza wieczorem, nim nadciągał sen, gdy wszystko przesłoniła mgiełka rozmarzenia — przeżywał ryzykowne wyczyny, giął sylwetkę w najtrudniejszych ruchach. Odnajdywał w nich potem echa pogadanki Pawlickiego o skokach do wody. Lubiany przez wszystkich instruktor nie zaprzestał swej agitacji. Stale wdrapywał się z kimś na wieżę, tłumaczył, zachęcał. Skakał sam, by pociągnąć innych.

Henryk śledził zachłannie te sprawy. Przysłuchiwał się zachętom. Łowił słowa kolegów, czcze, jak dotąd, przechwałki i obietnice, czy też lękliwe tłumaczenia odwrotów.

Często sam płynął pod wieżą skoków, zwłaszcza wtedy, gdy ktoś na nią wchodził. Pośród szelestu wody, którą rozgarniał delikatnie, wsłuchiwał się w odgłosy z pomostu. Odwracał się na wznak i jak łuk naprężony niewidzialną cięciwą, leżał na usłużnej, zlekka chybotliwej wodzie, twarzą ku słońcu. Wyobrażał sobie, że dokonał już skoku z wieży, największego wyczynu swych ociemniałych lat i wypoczywa teraz po tryumfie na miękkim, nagrzanym posłaniu fal.

Woda zdawała się przyciągać głosy z pomostu. Tonęły w szumie, skoro tylko zanurzył uszy. Gdy unosił głowę, brzmiały tak niedaleko, jakby rozmawiający stali na brzegu. W tej bliskiej łatwości musiało się kryć jakieś oszustwo natury. Gdy czuł pod piersią elastyczną toń, a tuż nad głową grały głosy z wieży, cała udręka minionych dni stawała się dziecinstwem i śmiesznostką. Był zdecydowany skoczyć natychmiast. Wystarczyło jednak, że dobiegł do drabin, że wrapał się na chwiejny pomost i że pełny oddech jeziora owiał go swym tchnieniem, by tafla basenu oddaliła się znów groźnie, a głosy z dołu osłabły o ton.

Raz zabrał w czepku kąpielowym kilka kamieni, wygrzebanych z dna. Położył się na sprężystej trampolinie, obitej kawałkiem sznurkowej maty. Pomost zniknął z tyłu i Henrykowi zdawało się, że szybuje w powietrzu. Wyciągnięta dłoń wystawała poza deskę. Kończyła się tam ziemia, urywał się stały ląd. Pozostawała tylko tajemnica — nagroda bądź kara dla śmiałków, ich duma czy lęk.

Powoli puszczał kamyki i mierzył słuchem ich lot. Padały cicho. Po chwili dopiero rozlegał się plusk, jak meldunek o osiągnięciu celu. Niebezpieczna była to chwila. Miałżeby i on naśladować lot kamienia? Zgubne porównanie odstraszyło od myśli o skoku na pewien czas.

W poniedziałek, który zbiegł się z połową turnusu, bardziej upalny niż poprzednie dni, na kąpielisku zawrzało. Z wieży skoczył Olek Banaszyński, niewidomy student krakowski z trzeciego namiotu. — Skoczył! Słuchajcie! Olek skoczył! — krzyczeli jak opętani świadkowie wyczynu z wieży. Że skoczył, słyszeli zresztą wszyscy w basenie i na brzegu, chlupnęło przecież potężnie. Że dokonał tego Olek i to całkiem świadomie, że nie zleciał przypadkiem, o tym oznajmił radosny okrzyk pływaka, skoro się wynurzył. Krzyczał prąc do brzegu, zachłystywał się wodą, krztusił i znów krzyczał: — To wspaniałe. Nie macie pojęcia. Walę jeszcze raz!

Maliniak zszedł wcześniej z pływalni i nie mógł odżałować, że nie było go tam w chwili sukcesu. — Zobaczycie — zarzekał się wieczorem w namiocie — jutro ja pokażę, choćby nie wiem co...

— Ale sam — rzucił któryś z kąta — skoki nie dla Stefana. Nie zdąży się w powietrzu wysapać i opije się wody jak bąk.

— Ja ci tu smarkaczu!... — ryknął Maliniak, ale w połowie zreflektował się i dał nura pod koc. Obowiązywała cisza nocna, a w pobliżu namiotu rozległ się nagle głos komendanta.

Henryk długo nie mógł zasnąć tego wieczora. — A jednak Banaszyński skoczył! Słowa te brzęczały koło ucha jak natrętna osa, póki nie odegnało ich w końcu zdrowe, obozowe zmęczenie.

*

STALI na pomoście, jak wtedy na początku — w czwórkę, tylko zamiast mrukliwego dziewiarza tym razem wdrapała się Marysia, zwana powszechnie śpiewaczką. Żeński namiot zdradzał też zainteresowanie skokami, na razie zresztą platoniczne.

— Więc jak mam ręce trzymać? — pytał zdenerwowany Maliniak — Czy tak?

Pawlicki ustawia mu ramiona.

— Uważaj na uszy. Głowa prosto. Jak przy skoku zrobisz ramionami wymach, uszy mają leżeć w ramionach — wtedy będzie w porządku. Jak się odbijesz od deski, nogi złączone wysoko do tyłu. Całe ciało przegiąć w lekki łuk. Tak jak ja się teraz wyginam. Sprawdź dłonią! Rozumiesz?

— Acha, acha — sapał głośniej niż zwykle Stefan.

— I jeszcze jedno. Jakby ci nie wyszło, jakbyś złamał się w biodrach, wtedy nogi od razu do dołu. Skacz gwoździem. Bo inaczej chlapniesz na płask i woda ci kompres przyłoży.

Potężne chłopisko musiało drżeć z przejęcia, gdyż Henryk wyczuł, że i on drży leciutko z pomostem.

— Rany boskie! Kiedy to ja będę miał czas nad tym wszystkim pomyśleć?

(Dokończenie na str. 11)

Rudolf BUCHAŁA

III ŚWIATOWY KONGRES STUDENTÓW W WARSZAWIE

W dniu 27 sierpnia rozpoczął się w Warszawie III Światowy Kongres Studentów. Kongres ten zbiega się chronologicznie z siódmą rocznicą powstania Międzynarodowego Związku Studentów. Jest też — jeśli idzie o wachlarz uczestniczących środowisk — najbardziej szerokim ze wszystkich dotychczasowych kongresów organizowanych przez M.Z.S.

W chwili otwarcia III Światowego Kongresu Studentów znajdowało się na sali 920 uczestników z 99 krajów. Szereg krajów — jak Nepal, Laos, Kambodża, San Salvador, Honduras, Nigeria, Panama czy Mozambik — reprezentowane było na tego rodzaju spotkaniu po raz pierwszy. Dla zilustrowania rozrostu Międzynarodowego Związku Studentów w ciągu 7 lat jego istnienia można przytoczyć następujące dane: w roku 1946 obejmował on w Azji zaledwie 4 organizacje w 4 krajach, obecnie obejmuje on już 17 organizacji w 15 krajach; w Afryce miał on w roku 1946 2 organizacje w 2 krajach, obecnie ma 16 organizacji w 14 krajach. Równolegle do rozprzestrzeniania się geograficznego postąpił w tym okresie proces obejmowania coraz szerszego wachlarza stowarzyszeń studenckich, stowarzyszeń opierających się na rozmaitych założeniach światopoglądowych i stawiających sobie rozmaite cele naczelne.

Uczestnicy Kongresu, którzy przybyli z różnych krajów i kontynentów, nie uważają za dzieło ślepego przypadku faktu zwołania tego spotkania właśnie w Warszawie, ale widzą w tym fakcie głębszy sens. „Zebraliśmy się w Warszawie — stwierdził w swoim referacie sprawozdawczym sekretarz M.Z.S. Giovanni Berlinguer — dzięki serdecznej gościnności naszych gospodarzy — studentów i całego narodu polskiego. Spotykamy się w nowej Warszawie, która jest symbolem odbudowy i wiary w pokojową przyszłość. Któż jednakowoż może zapomnieć, że 14 lat temu — prawie co do dnia — pierwsze bomby spadły na Warszawę, by uczynić ją innym symbolem — symbolem strasznego barbarzyństwa wojny?

Mieszkańcy Warszawy cieszą się z każdego odbudowanego domu, lecz w sercach ich pozostaje żywe jeszcze wspomnienie zbrodni hitlerowskiego militaryzmu, który w tym mieście zaatakował całą ludzkość. Niech będzie nam wolno wyrazić naszą cześć męczennikom z okresu 1939—45 i przyrzec przed ludem tej bohaterskiej stolicy Polski, że uczynimy wszystko, co w naszej mocy, by nie dopuścić do ponownego zniszczenia — takiego jakiego doznała Warszawa".

Naczelnym założeniem Kongresu było postawienie i omówienie w dyskusji, między ludźmi reprezentującymi często rozmaite stanowiska, tych spraw, które interesują wszystkich studentów, spraw takich, jak np. udostępnienie studiów szerokim masom młodzieży, pomoc materialna dla studiujących, opieka zdrowotna, zapewnienie zatrudnienia po ukończeniu studiów, wymiana kulturalna między różnymi krajami. Z ust wielu przedstawicieli krajów kapitalistycznych i kolonialnych, którzy zabierali głos w dyskusji na Kongresie, padały licznie przytaczane fakty świadczące o ciężkim położeniu młodzieży studiującej w tych krajach, Np. we Włoszech, Francji, Stanach Zjednoczonych czy też krajach skandynawskich, gdzie studenci pozbawieni są pomocy materialnej ze strony państwa i pozostawieni wyłącznie własnym siłom. Ci z nich, którzy nie należą do warstw posiadających, muszą zdobywać niezbędne środki utrzymania często w najdziwniejszy sposób — jako kierowcy samochodowi, uliczni sprzedawcy lodów, grajkowie itd. W świecie kapitalistycznym, gdzie istnienie stałej armii bezrobotnych jest zjawiskiem normalnym, młodzież nie ma zagwarantowanego zatrudnienia po ukończeniu studiów i żyje w niepewności jutra. Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja w krajach kolonialnych i zależnych; dość wspomnieć, że analfabeci w Kenii stanowią 94% ludności, w Kongo Belgijskim — 97%, a w kraju Nyassa — 99.45% Warto sobie uprzytomnić, że kiedy np. w Czechosłowacji liczba studentów na 10.000 ludności wynosi 51 osób, to równocześnie w Brazylii wynosi ona 5,4, w Iranie 3,5 a w Maroko — 0,16.

Położenie materialne studentów nie da się oddzielić od ogólnego położenia ludności całego kraju, a los studentów od losu całego narodu. Dlatego też młodzież studiująca żyje tymi samymi problemami, którymi żyje cała ludzkość i reaguje na nie w sposób czujny i aktywny.

Ogólnoludzka sprawa pokoju i przyjaźni, które były naczelnym hasłem Kongresu, nie pozostały obojętne również dla młodych chrześcijan, którzy przysłali na Kongres swoich przedstawicieli. Na sali obrad reprezentowana była Światowa Federacja Studentów Chrześcijan, mająca swoją centralę w Genewie. Obecni byli również przedstawiciele studenckiego ruchu chrześcijańskiego Kanady, studenci katolickich uniwersytetów z Louvain (Belgia) i Santiago (Chile), a także młodzi katolicy z Niemiec i z krajów Ameryki łacińskiej. Obecni byli wreszcie studenci Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, reprezentujący społecznie postępowy ruch wśród młodzieży tej uczelni. Kongres był więc miejscem zetknięcia się młodych katolików żyjących w różnych ustrojach społeczno-gospodarczych. I podobnie jak całe to wielkie spotkanie młodzieży różnych krajów stało się okazją do nawiązania wzajemnego, bezpośredniego kontaktu, do wyjaśnienia wielu uprzedzeń i sprostowania wielu fałszywych poglądów, zaszczepianych przez tych, którzy pragną zasiać między narodami nieufność i wrogość tak zetknięcie się młodych katolików z krajów kapitalistycznych z katolikami polskimi dało sposobność naszym gościom przekonania się bezpośrednio o wielu sprawach, w których sądy ich opierały się na tendencyjnych informacjach.

Wzajemne poznanie się przedstawicieli młodzieży z tylu narodów, wzrost zaufania i zrozumienia oraz poczucia solidarności i przyjaźni — to poważne osiągnięcie III Światowego Kongresu Studentów w Warszawie

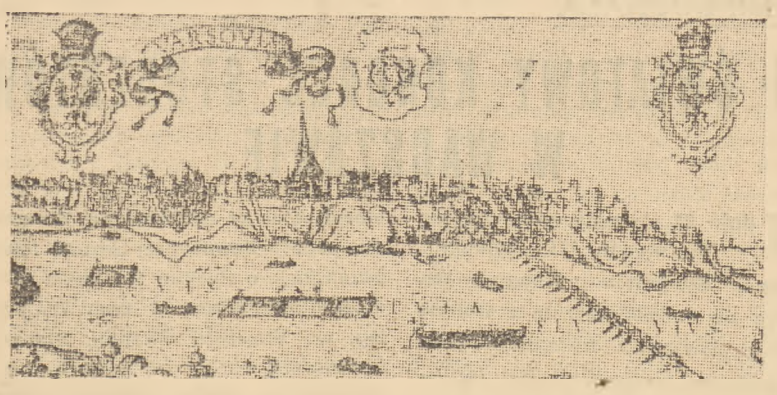

Widok ogólny Warszawy z XVI w. (drzeworyt Brauna z XVI w.)

Michał NOWACKI

Rozwój urbanistyczny i archeologiczny Warszawy

ODBUDOWA i przebudowa naszej stolicy pasjonuje nie tylko mieszkańców Warszawy, ale i szerokie rzesze obywateli naszego kraju. Dowodem tego jest chociażby ogromna poczytność doskonale redagowanego tygodnika poświęconego tym sprawom — „Stolica", oraz powodzenie patronowanej przez niego akcji zbierania ofiar na „Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy". Wszystkie wystawy projektów rekonstrukcji cieszą się ogromną frekwencją, a realizacja ich poszczególnych etapów — Trasa W—Z, M.D.M., czy Pałac Kultury i Sztuki — wywołuje powszechną radość i entuzjazm.

Interesując się obecną budową naszej stolicy, odpowiadającej wymogom dnia dzisiejszego, interesujemy się jednocześnie jej przeszłością, która przechowana została na historycznych ulicach Warszawy i w tradycjach artystycznych, znajdujących swój wyraz we współczesnych poszukiwaniach architektonicznych. Dlatego tak potrzebne są książki i opracowania, traktujące o dawnym życiu naszego miasta, o jego rozwoju i kształtowaniu się.

Z wydawnictw powojennych na ten temat powierzchowna i raczej gawędziarska książka prof. Bystronia o Warszawie nie odpowiadała naszym wymaganiom. Ważniejszym wkładem była monografia prof. Stanisława Herbsta o Ulicy Marszałkowskiej, ale dotyczyła ona tylko jednego fragmentu zagadnienia. Dziś mamy już w ręku nader wartościową pracę Eugeniusza Szwankowskiego „Warszawa"*), która pozwala nam orientować się w poszczególnych etapach tworzenia się i rozbudowy naszej stolicy.

Dr. Szwankowski był najbardziej powołany do napisania tej książki. Od wielu lat zajmuje się on badaniami nad starą Warszawą, a obecnie jest również przewodniczącym sekcji historii Warszawy Polskiego Towarzystwa Historycznego. Podszedł do swego opracowania w sposób dla nas najbardziej ciekawy, a mianowicie dał pierwszy w literaturze polskiej szkic rozwoju architektonicznego i urbanistycznego Warszawy, obejmujący okres od osady przedhistorycznej do przedednia drugiej wojny światowej.

W realizacji swej pracy autor położył główny nacisk na stronę ściśle urbanistyczną. Dlatego podtytuł niezupełnie odpowiada treści, gdyż strona architektoniczna, omówienie poszczególnych stylów, dominujących w kolejnych epokach rozbudowy miasta, potraktowana została tylko bardzo powierzchownie i niewyczerpująco. Nie mamy tego za złe dr. Szwankowskiemu, gdyż nie jest specjalistą w tej dziedzinie, a dał jednak podstawowy zrąb informacji z tego działu, niezbędnych dla należytego ocenienia rozwoju urbanistycznego.

Pod tym ostatnim względem autor nie zawiódł naszych oczekiwań. Otrzymujemy ciekawy i pełny obraz przekształcania się małej osady rybackiej, a potem grodu książęcego w miasto średniowieczne, jego szybkiego awansu na stolicę Rzeczypospolitej szlacheckiej, stawania się z kolei wielkim nowożytnym centrum handlowo-przemysłowym w czasach kapitalistycznych, a wreszcie znów stolicą i ośrodkiem administracyjnym Polski międzywojennej. Wartość książki podkreślają bardzo liczne i dobrze dobrane ilustracje, które pożytecznie i przyjemnie udokumentowują tekst.

Prowadzone obecnie przez Kierownictwo Badań nad początkami Państwa Polskiego prace wykopaliskowe pozwoliły ustalić, że przypuszczalnie w X — XI wieku istniał na terenie obecnej Warszawy gród pierścieniowy, broniący osady, której mieszkańcy, obok rybactwa i uprawy roli, trudnili się wytapianiem żelaza z miejscowych rud darniowych. O rozwoju tego grodu i osiedla przesądziło krzyżowanie się ważnych dróg komunikacyjnych z północy na południe i z zachodu na wschód, przy przeprawie przez Wisłę.

Autor podaje jako przypuszczalną datę powstania miasta na tzw. prawie niemieckim rok 1285. Jest to jednak tylko bardzo dowolne przypuszczenie. Brak jest całkowicie konkretnych danych źródłowych o lokacji miasta średniowiecznego i o jego pierwszych osadnikach. Przed paru miesiącami prof. Arnold wysunął na sekcji historii Warszawy Polskiego Towarzystwa Historycznego hipotezę założenia miasta Warszawy przez mieszczan gdańskich, którzy uciekli stamtąd po spaleniu tego miasta przez Krzyżaków (pierwsze dziesięciolecie XIV w.). Jednakże przypuszczenia prof. Arnolda zostały na tym posiedzeniu bardzo gruntownie zakwestionowane przez erudytę historii Warszawy red. Gomulickiego. W każdym razie już w połowie XIV w. Warszawa była stosunkowo znacznym i bogatym miastem, toteż tam przenieśli swą siedzibę książęta mazowieccy.

Pierwszy okres świetnego rozwoju Warszawy rozpoczyna się w drugiej połowie XVI w., gdy zostaje ona, ze względów geograficznych, miejscem obrad wspólnego sejmu polsko-litewskiego. Spowodowało to przeniesienie przez Króla Zygmunta III swej stałej siedziby do Warszawy, chociaż nominalnie, prawie do końca Rzeczypospolitej Szlacheckiej, stolicą kraju pozostawał Kraków, co wyrażało się w odbywaniu tam koronacji i przechowywaniu na Wawelu insygniów i archiwum królestwa.

Charakterystyczna zabudowa przedmieść kapitalistycznej Warszawy, miasta przeszłości

Objęcie przez Warszawę faktycznej roli stolicy państwa przesądziło o charakterze jej rozwoju: Warszawa ucierpiała najmniej w ogólnym procesie upadku miast polskich w wiekach XVII i XVIII, natomiast przy zahamowaniu rozwoju miasta mieszczańskiego otoczyła się licznymi pałacami magnackimi i dworkami szlacheckimi, które powstawały na okolicznych gruntach, nie podlegających prawu miejskiemu, tworząc tzw. jurydyki czyli posiadłości szlacheckie, na których właściciele osadzali dla celów dochodowych różnych rzemieślników, nie objętych prawem cechowym. Powodowało to tym większy upadek właściwego miasta, obejmującego dzisiejsze Stare i Nowe Miasto, ale jednocześnie powodowało także powstawanie na przedmieściach licznych rozproszonych osad, które po reformach miejskich z czasów Stanisława Augusta stworzyły niezmierzone na owe czasy rozległy obszar miasta, jaki przetrwał prawie bez zmiany do pierwszej wojny światowej.

ŻYWOTNOŚĆ Warszawy-stolicy przejawiła się w tym, że po wielkim pożarze 1607 r. odbudowała się ona natychmiast. Z tego okresu pochodziły znane kamieniczki na Starym Rynku, które przetrwały do zniszczenia przez hitlerowców a obecnie są odbudowywane z takim pietyzmem. W 50 lat później, za czasów potopu szwedzkiego, Warszawa uległa znów bardzo poważnym zniszczeniom. Pewne zdziwienie wywołuje powiedzenie autora, że miasto było wówczas parokrotnie okupowane przez wojska szwedzkie, kozackie i węgierskie. O ile wiemy, Kozacy nigdy nie zbliżyli się do Warszawy, a i zagony Rakoczego nie dosięgały tak daleko na północ.

W każdym razie i wówczas zniszczona Warszawa odbudowała się dość prędko, a nowy okres świetnego rozwoju miasta rozpoczął się za czasów saskich, trwając bez przerwy aż do rozbiorów. August II zapoczątkował realizację tzw. założenia saskiego, marszałek Bieliński, jako gospodarz miasta, zainaugurował wielkie prace nad uporządkowaniem i urządzeniem stolicy, wytyczając m.in. na swej jurydyce dzisiejszą ulicę Marszałkowską, wreszcie mecenat Stanisław Augusta upiększył Warszawę i nadał jej charakter na owe czasy wielkomiejski. Zaprojektowane za jego czasów założenia realizowane były częściowo w ciągu całego XIX w.

Rozbiory spowodowały upadek Warszawy jako miasta, ale już za czasów Królestwa Kongresowego poprzerany przez min. Lubeckiego rozwój kapitalizmu przyczynił się do nowej świetności Warszawy. Okres ten stoi pod znakiem działalności wielkiego architekta Corazziego i ekipy polskich urbanistów ze szkoły stanisławowskiej. Klęska Powstania Listopadowego odbiła się fatalnie na dalszych losach miasta. Wybudowanie Cytadeli zamknęło naturalny rozwój miasta w kierunku północnym, a sieć otaczających Warszawę fortów zmusiła do zbyt intensywnej zabudowy wewnętrznej, ofiarą której padła większość rezerwatów zieleni.

Kapitalistyczne stosunki powodowały, że prywatni właściciele poszczególnych działek prowadzili zabudowę spekulacyjną i chaotyczną, starając się maksymalnie wykorzystywać swe place, co prowadziło do powstawania słynnych kamienic-studni. Jednocześnie budowa prowadzona była wyłącznie pod kątem zaspokajania potrzeb ludzi majętnych, toteż zaczęły występować tak charakterystyczne dla miast kapitalistycznych różnice między dobrze urządzonym śródmieściem a nędzą robotniczych dzielnic i przedmieść. Powstałe na północno-zachodnim krańcu Warszawy ghetto powodowało podział miasta na dwie odrębne części i pchało do nienaturalnej jednostronnej zabudowy wzdłuż osi dwóch głównych ulic: Marszałkowskiej i ciągu Krakowskie Przedmieście — Nowy Świat — Aleje Ujazdowskie.

W drugiej połowie XIX w. istniejące wówczas Rada Budownicza i Komitet Regulacyjny starały się wprowadzić pewien porządek w zabudowie miasta i opracowały nowe założenia urbanistyczne. Wtedy dokonano szeregu pożytecznych inwestycji ogólnych, jak zabrukowanie ulic, kanalizacja miasta, przeprowadzenie wodociągów, itd., lecz z udogodnień tych mogły korzystać głównie dzielnice zamieszkałe przez zamożniejszych obywateli. Skasowanie Rady i Komitetu przez rząd carski doprowadziło do pełnej anarchii w rozwoju miasta. Od razu rozpoczęła się bezkarna spekulacja gruntami i domami, której nie mogły powstrzymać czynniki społeczne, ograniczone w swej działalności przez władze zaborcze.

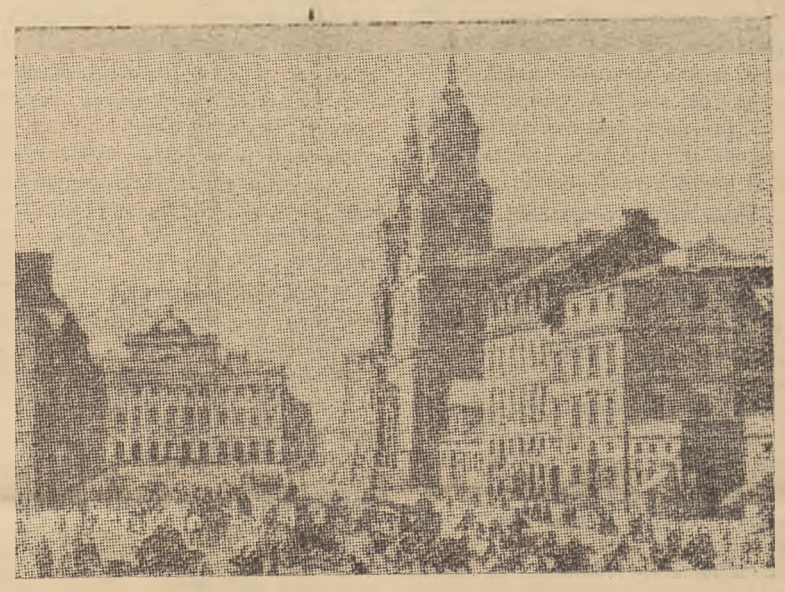

Krakowskie Przedmieście z Pałacem Staszica (drzeworyt z połowy XIX w.)

Okres samowolnej zabudowy kapitalistycznej, której nasilenie przypadło na przełom XIX i XX wieku, pozostawił w Warszawie spadek ciężki do odrobienia: wadliwą konstrukcję urbanistyczną, przeładowanie centrum, brzydką, nieskoordynowaną zabudowę, brak zieleńców, niedostateczną sieć kanalizacyjną i wodociągową, potworne zacofanie przedmieść i dzielnic robotniczych, urągające zasadom higieny istnienie licznych fabryk w śródmieściu itd.

Rozdziały książki Szwankowskiego, opisujące rozwój miasta Warszawy w okresie saskim, stanisławowskim i rozbiorów, należą do najbardziej udanych. Znacznie słabiej wypadł rozdział następny, poświęcony Warszawie w latach międzywojennych. Autor słusznie podkreślił, że wewnętrzna logika kształtowania się stosunków kapitalistycznych doprowadzić musiała do coraz silniejszego akcentowania się sprzeczności między dzielnicami bogatymi i biednymi. Wykazał również, że w ówczesnych stosunkach politycznych i gospodarczych nie można było naprawić stanu rzeczy odziedziczonego po czasach zaborczych. Regestruje nieśmiałe i nagół nie doprowadzone do końca próby nowych założeń urbanistycznych i usunięcia najbardziej jaskrawych bolączek. Zbyt jednak wiele pisze o niezrealizowanych projektach kosztem powierzchownego potraktowania prac dokonanych na terenie Warszawy w tym okresie.

Szwankowski poddaje krytyce ówczesne koncepcje urbanistyczne, wykazując słusznie, że miały one za punkt wyjścia konstruktywistyczne teorie tworzenia handlowego i administracyjnego City z przerzuceniem luźnie zabudowanych dzielnic mieszkaniowych na peryferie miasta. Osobiście mielibyśmy zastrzeżenia przeciwko jego krytyce stwarzania gęstej sieci ulicznej. Naturalnie, miasto mające kilkusetmetrowe fronty budynków potrzebuje mniej gęstej sieci ulicznej niż posiadające kamienice o frontach kilkunastometrowych. Ale wydaje się nam, że panująca obecnie tendencja, sądząc po projektach na różnych wystawach urbanistycznych, ograniczania sieci ulic przeznaczonych dla ruchu kołowego, na rzecz zwiększania ciągów pieszych, jest zbyt jednostronna i nie uwzględnia dalszego rozwoju życia materialnego.

W miarę rozwoju dobrobytu kraju coraz większa ilość ludzi pracujących będzie miała swe własne samochody, które przestaną być przedmiotem zbytku, a staną się normalnym środkiem lokomocji. Wymagać to będzie, aby każdy dom mieszkalny posiadał swe własne garaże, ale równocześnie i możność dojazdu do nich, a więc ulic a nie ciągów pieszych, które stanowić mogą tylko dodatkowe ułatwienie dla skracania drogi między budynkami.

Podnosząc postępowe tendencje wśród części naszych urbanistów i architektów w okresie międzywojennym, autor niesłusznie przemilczał głoszoną wówczas bardzo wyraźnie tezę o konieczności zwrócenia miasta „frontem do Wisły". Znajdowało to wyraz m.in. w projektach rozwiązania tzw. skarpy wiślanej. Tak samo urbaniści nasi już wówczas projektowali koncepcję zrealizowaną obecnie w postaci Trasy W—Z. Miała ona być jednak związana z projektem budowy nowego mostu na Wiśle u przedłużenia ulicy Karowej, a tunel przechodzić miał pod Ogrodem Saskim z wylotem za Żelazną Bramą.

Odkładając książkę dra Szwankowskiego, piszemy się całkowicie na opinię prof. Arnolda, który w swej przedmowie stwierdził, że „rozwój urbanistyczny i architektoniczny Warszawy, jaki daje autor, pozwala na wydobycie z jej przeszłości i utrwalenie w toku odbudowy tego, co było postępem w warunkach dawnej epoki historycznej, w czym tkwiły pierwiastki naszej rodzimej kultury narodowej".

Michał Nowacki

*) Eugeniusz Szwankowski „Warszawa" — Rozwój urbanistyczny i architektoniczny. Instytut Urbanistyki i Architektury. Warszawa 1952. Nakładem Państwowych Wydawnictw Technicznych. Str. 244.

Rolnictwo Z.S.R.R. na drodze dalszego rozwoju

cają źródła w wodę i opóźniają proces wysychania rzek. Ale najważniejsze jest to, że zapobiegają erozji najbardziej urodzajnych powierzchniowych warstw gleby.

W celu całkowitego zwalczenia posuchy plan przewiduje założenie ośmiu pasów leśnych. Pierwszą zaporą dla suchowiejów będzie najszerszy ze wszystkich pasów ochronnych, ciągnący się trzema rzędami po obydwu brzegach rzeki Uralu od Góry Wiśniowej do Morza Kaspijskiego na długości 1.080 km. Każdy z tych pasów będzie miał 60 m szerokości, a odległość między pasami wynosić będzie 200 m. Dalej na zachód będą biegły pasy węższe wzdłuż brzegów Wołgi i Donu oraz po liniach prostopadłych do kierunku panujących wiatrów. Łączna długość wszystkich pasów wyniesie 5.300 km, a łączna powierzchnia 117 tys. ha.

Oprócz państwowych pasów powstaną lokalne pasy leśne na polach tysięcy kołchozów i sowchozów o szerokości od 15 — 30 m i łącznej powierzchni 6.300.000 ha. Jeżeli do tego dodać pasy leśne wzdłuż kanałów nawadniających i zadrzewienie jarów rzecznych, to ogólna powierzchnia leśna dojdzie do 10 — 12 milionów ha.

Jeszcze nie tak dawno panowało powszechne przekonanie o niemożliwości sadzenia lasów na obszarach o opadach atmosferycznych poniżej 400 mm rocznie. Agrotechnicy radzieccy dowiedli praktycznie, że sadzenie lasów możliwe jest na obszarach z opadami poniżej 200 mm rocznie. Dzięki temu cała południowo-zachodnia część ZSRR zostanie podzielona na kwadraty o powierzchni od 100—150 ha otoczone pasami leśnymi. W wykonaniu tych planów sieć pasów leśnych pokryje przestrzeń 120 milionów ha. Do roku 1952 kołchozy, sowchozy i gospodarstwa leśne zalesiły już w celach ochronnych z górą 2.5 miliona ha i zbudowały przeszło 12 tysięcy sztucznych stawów i zbiorników wodnych.

Wielkie znaczenie dla dalszego rozwoju rolnictwa ma rozbudowa urządzeń irygacyjnych. Już w latach przedwojennych zbudowano znaczną ilość wielkich systemów nawadniających, wyposażonych w nowoczesną technikę oraz zmodernizowano stary system nawadniający. Dzięki tym pracom obszar nawodnionych terenów w Azji Środkowej i w innych częściach ZSRR zwiększył się 1,5 razy. Pozwoliło to na rozwiązanie tak poważnego zadania jak podniesienie produkcji bawełny. Począwszy od 1940 roku prowadzone są prace nad nawadnianiem gruntów o wysokiej urodzajności, ale narażonych na posuchę, w centralnej strefie czarnoziemu w obwodach kurskim, orłowskim, woroneskim i tambowskim.

Jednym z najbardziej interesujących planów jest zmiana systemu nawadniania. Stary system dzielił pola na niewielkie kawałki od 1 do 1,5 ha, a tylko największe dochodziły do 10 ha. Nowy system polega na budowaniu tymczasowych kanałów dzielących pola na obszary 40 — 60 ha. System ten nie tylko znacznie skraca długość sieci nawadniającej, ale ponadto poważnie zmniejsza koszta jej utrzymania, a co najważniejsze pozwala na używanie wielkich maszyn rolniczych niemożliwych do zastosowania na małych poletkach starego systemu. Powierzchnia obszarów przechodzących na nowy system nawadniania dochodzi do 4,5 miliona ha.

W krainach o nadmiernej wilgotności gleby, przede wszystkim na Białorusi i republikach nadbałtyckich prowadzone są podobnie jak przed wojną rozległe prace nad osuszeniem błot i gruntów zabagnionych.

Budowa 8 zapór wodnych na Wołdze, Dnieprze, Donie i Amu Darii, zbudowanie kanału Wołga-Don i zakończenie budowy kanału południowo-ukraińskiego i północno-krymskiego, budowa 4 tysięcy km kanałów nawadniających i 44 tysięcy sztucznych stawów w głębokich jarach stepowych pozwolą na nawodnienie 28 milionów ha pustynnych i półpustynnych obszarów na południu Związku Radzieckiego. Wynie sie to więcej niż 1/3 wszystkich nawodnionych obszarów kuli ziemskiej, zbudowanych wysiłkiem długiego szeregu pokoleń.

Budowa dwóch największych na świecie hydrowęzłów elektrycznych koło Stalingradu i Kujbyszewa stwo rzy niezwykłe możliwości elektryfikacji w produkcji rolnej, wprowadzenie orki elektrycznej, zastosowanie kombajnów elektrycznych i innych elektrycznych maszyn rolniczych. Pozwoli to na dużą oszczędność materiałów pędnych do silników spalinowych.

Założenie ochronnych pasów leśnych, wprowadzenie trawopolnych płodozmianów, rozbudowa systemu irygacyjnego, osuszanie bagien, pra

Dokończenie ze str. 5

widłowe stosowanie nawozów sztucznych i mineralnych, siew selekcyjnych nasion przystosowanych do warunków lokalnych — wszystko to zmieni zasadniczo naturalne procesy zachodzące w przyrodzie: ulepszy strukturę gleby, powiększy w niej zapas wilgoci i składników odżywczych, przez co wzbogaci szatę roślinną i faunę, a w ostatecznym rezultacie doprowadzi do gruntownej zmiany warunków klimatycznych.

To, czego dokonali ludzie radzieccy, równa się odkryciu nowych kontynentów — realizacja planów przeobrażenia przyrody podniesie w takim stopniu urodzajność gleby, że jej plony wystarczą na wyżywienie 100 milionów ludzi.

AKTUALNE ZADANIA ROLNICTWA RADZIECKIEGO

To co wyżej powiedziano o wielkich osiągnięciach rolnictwa radzieckiego bynajmniej nie oznacza, że rozwój tego rolnictwa osiągnął już swój punkt kulminacyjny, ani też że produkcja rolna zaspokaja już w pełni stale rosnące potrzeby radzieckich obywateli. O aktualnych zadaniach rolnictwa radzieckiego mówił na końcowym posiedzeniu V Sesji Rady Najwyższej ZSRR Przewodniczący Rady Ministrów ZSRR G. M. Malenkow. Przytaczając cyfry ilustrujące dotychczasowe osiągnięcia kołchozów i sowchozów w zakresie produkcji zbożowej i hodowlanej Malenkow wyraźnie postawił sprawę, że rozwój rolnictwa nie postąpił tak szybko naprzód, jak to miało miejsce w przemyśle, że szereg ważnych gałęzi rolnictwa pozostaje w tyle, że obecny poziom produkcji rolnej nie odpowiada wyższemu już dzisiaj poziomowi technicznego wyposażenia rolnictwa i możliwościom tkwiącym w ustroju kołchozowym.

Przed rolnictwem radzieckim postawione zostały w tej chwili zadania zlikwidowania niedociągnięć, tam gdzie one jeszcze istnieją, szybkiego rozwoju hodowli, produkcji ziemniaków i paszy, produkcji roślin technicznych, przede wszystkim zaś bawełny, lnu, buraków cukrowych oraz upraw oleistych. W r.b. państwo preliminuje na dalszy, jeszcze szybszy rozwój rolnictwa kwotę ponad 50 miliardów rubli, niezależnie od sum przeznaczonych na długoterminowe kredyty dla kołchozów i niezależnie od nakładów inwestycyjnych poczynionych z własnych środków kołchozów.

Pomoc państwa dla rolnictwa idzie w kierunku znacznego polepszenia mechanizacji i elektryfikacji rolnictwa, w kierunku zwiększenia produkcji nawozów sztucznych oraz zwiększenia agronomicznej i zootechnicznej pomocy dla kołchoźników. Przewidziano kredyty na podwyższenie cen zakupu produktów hodowlanych, ziemniaków i warzyw, obniżono normy obowiązkowych dostaw z osobistego pomocniczego gospodarstwa kołchoźników, obniżono podatek pieniężny z każdej zagrody kołchozowej, umorzono zaległości z tytułu podatku rolnego za lata ubiegłe. Dzięki tym wszystkim zarządzeniom w dziedzinie ekonomicznego zainteresowania kołchozów i kołchoźników w podniesieniu produkcji rolnej, dochody kołchozów i kołchoźników zwiększą się jeszcze w b.r. o przeszło 13 miliardów rubli, a w skali całorocznej o przeszło 20 miliardów rubli.

Rezultatem tych zarządzeń, które mają przyczynić się do dalszego organizacyjnego i gospodarczego umocnienia kołchozów, ma być osiągnięcie w ciągu najbliższych 2—3 lat obfitości artykułów żywnościowych dla ludności oraz surowców dla przemysłu lekkiego. W miarę bowiem wzrastania dobrobytu ludności radzieckiej wzrastają też jej potrzeby, zarówno w zakresie jakościowym, jak i ilościowym. Jak zaś oświadczył Malenkow, pod czas gdy w ciągu ostatnich 20 lat produkcja środków produkcji wzrosła w Związku Radzieckim w przybliżeniu 55-krotnie, natomiast produkcja artykułów konsumpcyjnych zwiększyła się w tym okresie jedynie ok. 12-krotnie. Dysproporcję w tym rozwoju można obecnie, na gruncie sukcesów osiągniętych w rozbudowie przemysłu ciężkiego, zniwelować. Jest to zadanie przede wszystkim dla radzieckiego rolnictwa, które mimo swych bezspornych i wielkich sukcesów ma jeszcze przed sobą duże możliwości rozwoju i rozkwitu.

Dotychczasowe sukcesy rolnictwa radzieckiego i realne perspektywy jego dalszego rozwoju mają jeszcze jeden swój walor w skali międzynarodowej.

Zasługa rolników radzieckich polega mianowicie na tym, że udowodnili nie tylko teoretycznie, ale — co bez porównania ważniejsze — praktycznie nonsens wszystkich starych i nowych teorii burżuazyjnych straszących ludzkość widmem przeludnionego i wygłodzonego świata. Teorie, które starają się winę nędzy i wygłodzenia dwóch trzecich całej ludzkości przerzucić z ustroju kapitalistycznego na prawa przyrody.

Usiłują oni dowieść, że naturalny przyrost ludności ziemi jest szybszy niż możliwości zwiększenia produkcji środków żywności. Doświadczenie rolnictwa radzieckiego obaliło całkowicie te teorie. Dowodzi ono, że w przyrodzie nie istnieje żadne prawo zmniejszającej się urodzajności gleby, że przeciwnie, przy racjonalnej gospodarce można tę urodzajność zwiększyć w sposób niemal nieograniczony. I na tym polega historyczna zasługa rolników radzieckich dla przyszłych pokoleń i dla całej ludności ziemi.

Mateusz T. Milewski

Etienne Gilson
WPROWADZENIE DO NAUKI Św. AUGUSTYNA
przekład Zygmunta Jakimiaka
343 str. Cena zł. 45.—

Tadeusz Silnicki
BISKUP NANKER
Monografia
122 str. Cena zł. 26.—

Wanda Chylicka
SPLĄTANE KORZENIE
Opowiadania
161 str. Cena zł. 16.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX" Warszawa ul. Mokotowska 48, za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu na konto PKO W-wa. I-8513/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł. 3.— na koszt przesyłki.

Nad Ojcami

chrześcijan, nie tracących nigdy z oczu ośrodka i celu życia: Chrystusa.

Obca nam, a jakże nam potrzebna w zawikłaniach naszego życia prostota, nie mająca nic z ubóstwa, szlachetna prostota wielkich linii i wielkich, nie rozmienionych na drobne wartości, prostota w jedności — umożliwia życie najbardziej zasadniczymi prawdami wiary. Nie zagubiwszy się w nieistotnych drobiazgach, nie zaplątawszy się w drugorzędnych szczegółach, nie tracąc nigdy z oczu Chrystusa — chrześcijanin pierwszych wieków żyć może w pełni swym chrześcijaństwem. Żyć zaś w pełni chrześcijaństwem, to nic innego, jak żyć naprawdę w Kościele, w tym żywym organizmie złożonym z chrześcijan wszczepionych w Chrystusa. Głęboki *sensus ecclesiasticus* cechuje gminy wczesnochrześcijańskie, prawdziwie żywe komórki Kościoła. Wewnętrzną ich więzią jest miłość wzajemna, znak rozpoznawczy chrześcijanina wedle słów Chrystusa Pana, a podstawą i źródłem tej miłości — łamanie chleba, Msza św., ośrodek życia Ciała Mistycznego. Literatura, służba Boża, nie zatraciła w nich jeszcze swego charakteru dogłębnie społecznego — źródła braterstwa i miłości. Ich zaś sui generis radykalizm społeczny, ich stosunek do majątku, ich wspólnoty w zestawieniu z naszym stylem życia społecznego, to nie problem techniczny takiego czy innego urządzenia życia, to wyciągnięcie lub niewyciągnięcie konsekwencji z łamania chleba, z rozszerzonej przez Pawła nauki Chrystusa Pana o Kościele.

Dokończenie ze str. 3

Bo konsekwencja to właśnie trzecia i ostatnia — obok prostoty w jedności i życia wielkimi prawdami wiary — z zasadniczych cech stylu pierwszych wieków. My, którzy tak lubimy łatwiznę kompromisów, którzy tak często cofamy się w pół drogi, zbrojni zawsze w zakłamaną ale pozornie słuszną argumentację, szermującą logiką, rozsądkiem, zdrowym umiarem — tęsknimy przecież świadomie czy poświadomie do szlachetnego gestu, którym oddaje się Bogu to, co mu się należy, to jest wszystko. Dla Ojców problem jest pozorny — dla nich nie ma przedziału między prawdą przyjętą a prawdą przeżytą i wprowadzoną w życie, nie ma też możliwości zatrzymania się lub wycofania, gdy raz wkroczyło się na drogę świętości, która dla nich jednoznaczna jest z drogą chrześcijaństwa. Jest w nich coś z herezmu, nieodłącznego przecież od postawy prawdziwie chrześcijańskiej, a tak obcego i tak potrzebnego wygodnickiemu, burżuazyjnemu katolicyzmowi, odziedziczonemu przez nas po w. XIX.

Mamy więc już zasadnicze linie duchowości, którą odczytać możemy z kart dzieł Ojców Kościoła. Jak teraz wyraża się na zewnątrz ta postawa, jakie są jej owoce? Najpierw pokój. Pierwszym chrześcijanom nieobce jest zwykłe ludzkie cierpienie ani ból złączony nierozerwalnie z grzechem, obrazą miłości Bożej, nie znają natomiast jałowego, nietwórczego, rozbijającego jedność we wnętrzną niepokoju, który szarpie człowiekiem. Postępowanie ich wspiera się na kilku prostych prawdach, nie wymaga więc zawiłych rozstrzygnięć. Znają przy tym zagubioną przez nas tajemnicę pełnej ufności, która jest nagrodą równie pełnego, bezkompromisowego oddania.

Obok pokoju, prawdziwego, niezniszczalnego pokoju zjednoczenia z Bogiem, cechuje naszych przodków w chrześcijaństwie równie niezniszczalna radość. Świat wokół nich jest jeszcze pogański, piętrzą się przed nimi trudności, często grożą niebezpieczeństwa, a jednak z kart dzieł Ojców bije nie tylko niezachwiana pogoda, ale i przeogromna radość. Szukając jej źródeł wracamy znów do punktu wyjścia. Zasuszone, zrutynizowane, martwe chrześcijaństwo obce jest radości. Jakąż za to radość daje chrześcijaństwo żywe, jakaż radość płynie z faktu, że Chrystus odkupił świat. Na to, żeby odczuwać taką radość, żeby cieszyć się Bożą miłością, trzeba przejąć od Ojców ich stosunek do chrześcijaństwa, trzeba nauczyć się od nich żyć Chrystusem, trzeba zaczerpnąć od nich świeżości, zbawiennego lekarstwa na naszą rutynę i zabójcze przyzwyczajenie.

Nie bójmy się więc otworzyć dzieł Ojców, choć znajdziemy w nich same tylko najprostsze prawdy, sam zrąb chrześcijaństwa. Umiemy już przecież czytać, nie przejdziemy obok tych prostych, ubogich pozornie treści obojętnie. Spojrzymy na nie oczyma autora, który ani na chwilę nas nie opuści. I nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei. Zobaczymy, jak znane, wyświechtane, spowszedniałe w codziennym powierzchownym użyciu prawdy opuszczą ciasne ramki katechizmowych schematów, z których od pierwszych doświadczeń dzieciństwa nie umiemy ich uwolnić, jak zaczną nagle tętnić życiem, jak zabłysną nowym dla nas światłem. I ani się obejrzymy, jak razem z Justynem, Bazylim, Grzegorzem czy Augustynem przeżyjemy może po raz pierwszy w życiu w sposób właściwy, tzn. jak wielką, wstrząsającą prawdę — Wcielenie, Odkupienie, Zmartwychwstanie, zrozumiemy w miarę naszych ograniczonych ludzkich możliwości, co to znaczy, że Chrystus umarł za nas na krzyżu, że Męka Jego stała się odtąd naszą własnością, że zmartwychwstał i że my z nim zmartwychwstaniemy.

Wanda Tarczyńska

POSZUKIWACZ PRAWDY

Ciąg dalszy ze str. 1

kunktatorstwie Kutuzowa, który dopuszcza do owładnięcia Moskwy przez Francuzów wierząc, że napastnik — jako synteza zła — sam wreszcie musi zginąć. Zresztą pomijając opisy wydarzeń historycznych i wątki fabularne, wiele rozdziałów „Wojny i pokoju" — to po prostu traktat filozoficzny, w którym Tołstoj przy pomocy oderwanych przykładów, przy pomocy dowodzenia uzasadnia słuszność głoszonej przez siebie doktryny.

Kiedy mówimy o nieprzemijającej wartości artystycznej tego dzieła, o emanującej zeń pozytywnej, radosnej sile życia, przypominam sobie ten fragment powieści, w którym autor opisuje powrót mieszkańców Moskwy do spalonego przez wrogów miasta. Niby mrówki do rozrzuconego mrowiska gromadzili się Rosjanie — *„w miejscu, które dawniej nazywało się Moskwa. — Ale tak jak patrząc na uwijające się — mimo zburzenia mrowiska — wokół kopczyka mrówki z nieustępliwości, energii i liczebności gmerających w ziemi owadów umosimy, że zniszczono wszystko prócz czegoś niezniszczalnego, niematerialnego, stanowiącego istotną siłę mrowiska — tak samo Moskwa w październiku była tą samą Moskwą co w sierpniu, jakkolwiek nie było w niej władz, świątyń ani cerkwi, bogactwa ani domów. Zniszczono wszystko — z wyjątkiem czegoś niematerialnego, lecz potężnego i niezniszczalnego"* *).

Cóż to jest owe „niematerialne, potężne i niezniszczalne", dzięki czemu ongiś dźwignęła się do życia Moskwa, a niedawno Warszawa?

Jest to twórcza, afirmatywna i nie znająca przeszkód wola pokojowej pracy narodu, której nie potrafi zabić ani pokonać żaden wróg.

Ukazanie i niejednokrotne podkreślanie na kartach „Wojny i pokoju" tego zjawiska stanowi również o nieprzemijającej wartości epokowego dzieła Tołstoja.

*

PRZYSTĘPUJĄC z kolei do napisania powieści z epoki Piotra I, Tołstoj — jak i poprzednio — nagromadził obszerny materiał, ale mimo iż napisał nawet kilka fragmentów nowego utworu, do którego będzie wracał kilkakrotnie, rzecz nie została napisana w całości. Przyczyn można by szukać różnych. W owym czasie Tołstoj z wielkim oddaniem opracowywał Elementarz, uczył się greckiego, studiował nauki przyrodnicze. Poza tym nastąpił nawrót dawnej pasji do pedagogiki. *„Obecnie przeskoczyłem całkowicie z abstrakcyjnej pedagogiki* — pisał w liście do krewnej — *z jednej strony do praktyki, a z drugiej do rzeczy najbardziej abstrakcyjnej, mianowicie do sprawy szkolnictwa w naszym powiecie. I znowu pokochałem jak przed 14 laty te tysiące dzieciaków, z którymi mamy do czynienia"* **). I dalej: *„Jak tu ich ratować! Komu najpierw rękę podać, komu później! To nie zaś tutaj wszystko, co najdroższe, właśnie to co wzniosłe, co rzuca się nam w oczy, gdy patrzymy na dzieci..."* ***).

Inną „przeszkodą", która udaremniła napisanie drugiej historycznej powieści, było silnie u pisarza występujące zainteresowanie dla otaczających go dokoła problemów współczesności. W rezultacie Tołstoj przystąpił w r. 1873 do pisania „Anny Kareniny", którą ukończył w roku 1877.

*

OILE „Wojna i pokój", głosząc chwałę Wojny Narodowej, jest utworem pełnym optymizmu, apoteozą zwycięstwa i moralnego odrodzenia się ludzi po zwycięskiej wojnie — o tyle w „Annie Kareninie" dochodzi do głosu pesymizm, wynikający z negatywnego stosunku autora do współczesnej mu epoki kapitalizmu i wszystkiego, co epoka ta przynosi. Karenin, mąż Anny, jest produktem bezdusznej, biurokratycznej machiny państwowej. Jego zimna moralność, najeżona paragrafami mentalność odsuwa odeń Annę i pcha ją w ramiona lekkoducha Wrońskiego. Ta miłość wbrew pozorom nie odradza Anny duchowo. Karenin nie udziela rozwodu, jej ukochany syn zostaje przy ojcu, Wroński ze swym usposobieniem wesołego oficera nie może Annie nic ofiarować poza przelotnym szałem. Opinia publiczna widzi w Annie kochankę Wrońskiego, matkę jego nieślubnego dziecka. Ślepy zaułek życia Kareniny wiedzie ją z nieubłaganą konsekwencją pod koła pociągu. Ale postępek Anny potępia nie tylko opinia publiczna. Annę potępia również i Tołstoj, ponieważ „sprzeciwiała się złu", jakim było jej życie u boku Karenina. Autor pozostaje tu nadal wierny swym przekonaniom, które w tym wypadku mają swe częściowe uzasadnienie, jeśli się zważy, iż Anna bądź co bądź szukała szczęścia osobistego kosztem rozbicia rodziny, drogą nielegalnego — potępionego przez prawa boskie i ludzkie — stosunku.

Nie bawiąc się w scholastyczne dociekania, czy w sytuacji Anny było jeszcze jakieś inne wyjście, przypomnijmy raczej innych bohaterów powieści, których historia wnosi zupełnie odrębne wartości w całokształcie utworu.

Pełna swoistego uroku jest miłość Kitty i Lewina, w którym — podobnie jak poprzednio w Besuchowie — Tołstoj umieścił wiele cech i poglądów własnych. Lewin — Tołstoj gardzi życiem miejskim i kapitalistyczną cywilizacją. Ideał życia widzi — i na pewnym etapie znajduje — w pracy na roli, we współżyciu z chłopstwem — solą ziemi. Sądzi, że system spółdzielczości, który wprowadza w swych dobrach, rozwiąże najlepiej kwestię polepszenia doli chłopów. U podłoża jednak wszelkich w tym zakresie poczynań Lewina leży sprawa jego własnego sumienia, a nie reformy społecznej. Cokolwiek robi, czyni to dla samouspokojenia moralnego. Ten ukryty na dnie duszy egocentryzm czyni z Lewina w najlepszym razie filantropa, nigdy zaś — świadomego swych zadań reformatora.

Na kartach „Anny Kareniny" — w odróżnieniu od „Wojny i pokoju" — wypowiada się Tołstoj, przeważnie w dialogach bohaterów powieści, na wszystkie niemal nurtujące ówczesne społeczeństwo tematy.

Znalazły więc tu swe odbicie zarówno problemy naukowe, filozoficzne i artystyczne, jak też polityczne i ekonomiczne. Ale jak powiedzieliśmy, nad utworem panuje atmosfera pesymizmu i negacji, już nie tylko odzwierciedlająca się w narastającej aż do kulminacyjnego punktu tragedii Anny, już nie tylko w syzyfowych w konkluzji staraniach Lewina (a zwłaszcza jego brata), ale również w stosunku do całokształtu problemów, nie związanych bezpośrednio z fabułą powieści.

Wynikało to z krytyczno-nieufnego podejścia Tołstoja do ugruntowujące go się w Rosji kapitalizmu, który utrudniał porozumienie się Lewina z chłopami, który był praprzyczyną dramatu Kareninów. Ta niechęć do nowej formacji ustroju burżuazyjnego, tak widoczna w „Annie Kareninie" umacniała w Tołstoju coraz bardziej pogłębiające się u niego dążenie do ideologii patriarchalnego chłopstwa z jednoczesnym oderwaniem się od oficjalnej religii cerkwi i wypracowaniem nowej wiary.

*

TOŁSTOJ, jako były wojskowy, ale przede wszystkim jako gorący patriota, żywo interesował się losami wojny rosyjsko-tureckiej, która wybuchła w roku 1877. Zarówno porządkowe niepowodzenia Rosji, jak i późniejsze zwycięstwo odbiły się w psychice pisarza tak dalece, że w tym okresie nie mógł się zająć swą twórczością.

Zresztą po ukończeniu „Anny Kareniny", kiedy to dojrzewał w Tołstoju przełom duchowy, twórczość jego przybiera charakter publicystyczno-filozoficzny, kiedy to pisze „Spowiedź", „W co wierzę?" „Królestwo niebieskie jest w was samych" i „Cóż więc powinniśmy robić?" Ten ostatni utwór szuka rozwiązania nie tylko zagadnienia religii, moralności, nauki i sztuki, ale i spraw społecznych i pedagogicznych. W „Królestwie niebieskim" Tołstoj bezkompromisowo już odrzuca naukę kościoła prawosławnego, poddając przy tym krytyce ujemne strony rosyjskiej rzeczywistości, jak też występuje przeciwko zasadom życiowym uprzywilejowanych klas w innych burżuazyjnych krajach.

Rzecz prosta, że wszystkie wymienione utwory ze względu na cenzurę musiały być drukowane poza granicami kraju. Wydawano je w Szwajcarji, a następnie w Anglii za pośrednictwem przyjaciela Tołstoja W.G. Czertkowa, gorącego zwolennika jego poglądów.

Powracając znowu do twórczości beletrystycznej Tołstoj konsekwentnie przeprowadza w niej wytyczne swego światopoglądu. Powstają takie utwory, jak „Śmierć Iwana Iljicza", „Sonata Kreutzerowska" oraz sztuki „Potęga ciemnoty" i „Owoce edukacji".

W r. 1884 powstaje z inicjatywy i poparcia Tołstoja wydawnictwo: „Pośrednik", które miało na celu stworzenie literatury dla ludu w duchu ideałów, głoszonych przez autora „Wojny i pokoju".

W tym czasie Tołstoj, chcąc postępować zgodnie z wytyczonymi przez siebie zasadami, stara się upodobnić swoje życie do życia ludu. Odznacza się prostotą i skromnością w ubraniu i jedzeniu, zajmuje się pracą fizyczną. Jednocześnie studiuje język hebrajski, czyta Biblię w tym języku, jak również pilnie studiuje Ewangelię.

Tak jaskrawe oderwanie się od środowiska, bezkompromisowo już wroga postawa wobec oficjalnej religii, negacja „praworządności" carskiej ściągają na Tołstoja szereg poważnych przykrości. Konflikt z otaczającą pisarza rzeczywistością zarysowuje się już w domu, gdzie żona jego, Zofia Andrejewna, nieubłaganie sprzeciwiała się nie tylko poglądom męża, ale i sposobowi jego życia, co uczyniło Tołstojowi życie tak uciążliwym, że kilkakrotnie usiłował dom opuścić. Wrogi był również, rzecz jasna, stosunek cerkwi do pisarza, a po ogłoszeniu przez niego artykułu. „Dlaczego chłopi rosyjscy głodują?" który via Anglia ukazał się w kraju w tłumaczeniu rosyjskim, w kołach dworskich zaczęto mówić o izolowaniu Tołstoja od społeczeństwa, ponieważ jego pisma są pożywką dla tajnych organizacji rewolucyjnych.

Jeśli w tym czasie nie aresztowano słynnego już na całym świecie autora „Wojny i pokoju", jeśli — jak chcieli inni — nie osadzono go w twierdzy czy w klasztorze, sprawił to jego olbrzymi autorytet, niezwykła popularność jego dzieł i osoby.

Każde nowe wystąpienie, każdy dalszy utwór jest już teraz kolejnym ogniwem w łańcuchu protestu Tołstoja przeciw podstawowym zasadom absolutyzmu. Taki charakter nosiły jego słynne listy do cesarzy, Aleksandra III, a następnie Mikołaja II. W listach tych Tołstoj śmiało i energicznie występuje przeciw samowoli i przemocy, charakterystycznej dla jedynowładztwa, żądając jednocześnie wyzwolenia ludu z roli pariasa oraz

---

*) Lenin o Tołstoju. „Książka i Wiedza". Warszawa 1950, str. 16.

*) Lew Tołstoj — „Wojna i pokój". „Czytelnik" 1951. Tom IV. Cześć IV. Rozdz. XIV (str. 266).
**) M. Gudzij — Lew Tołstoj.
***) Tamże.

lat nieustannej i niezwykle intensywnej pracy w najlepszych warunkach życia". W rzeczywistości napisanie tego dzieła zajęło mu ponad sześć lat z tym, że zanim przybrało ono ostateczny, znany nam kształt, ulegało licznym przeróbkom i transpozycjom. „Wojna i pokój" obejmuje okres od 1805 r. do czasów poprzedzających powstanie dekabrystów.

Punktem kulminacyjnym opisanych w książce wydarzeń historycznych jest najazd Napoleona na Rosję — słynny rok 1812 — zdobycie Moskwy przez Francuzów i w końcu wypędzenie nieprzyjaciela z kraju.

Na kanwie wypadków historycznych rozgrywają się losy bohaterów powieści trzech rodzin szlacheckich — Bezuchowów, Bołkońskich i Rostowów.

Obok niezliczonej ilości postaci zmyślonych Tołstoj ożywia również postaci historyczne, jak Aleksander I, Kutuzow czy Napoleon, poddając ostrej krytyce zaborczy charakter napoleońskich ekspansji i wykazując nikczemną w gruncie rzeczy osobowość ich inicjatora. Natomiast Kutuzow — jako bohater, głównodowodzący obroną kraju przed inwazją napoleońską — wykazuje cechy dobrego stratega i dyplomaty, a ponad to wbrew opinii dworu, mimo niełaski cesarza, Kutuzow stał się nieomylnym w swych przewidywaniach wodzem narodu, pragnącego zrzucić z siebie jarzmo okupanta. Źródłem tej nieomylności, źródłem zaufania narodu do swego dowódcy był u Kutuzowa — *„czysty i silny patriotyzm, który nosił w sercu"*.

Jedno z największych arcydzieł literatury światowej, a niewątpliwie największe w literaturze rosyjskiej — „Wojna i pokój" — nazywane jest epopeą ludu rosyjskiego. Przed oczyma czytelnika przesuwają się reprezentanci wszystkich niemal ówczesnych warstw społecznych: arystokracji, dworaków, kupiectwa, żołnierzy i chłopstwa. Że jednak centralne postacie powieści rekrutują się spośród arystokratów, że z punktu widzenia przedstawicieli tej klasy autor rozpatruje największą ilość postawionych przez siebie problemów, wynika to bezpośrednio z klasowej przynależności Tołstoja do arystokracji — warstwy społecznej, którą ocenia jednak surowo i bezlitośnie, tak jak surowo i bezlitośnie oceniał swe własne braki i niedociągnięcia. Jeśli — pomijając opisy wypadków historycznych — najwięcej miejsca poświęcił Tołstoj życiu i poglądom na świat Andrzeja Bołkońskiego i Piotra Bezuchowa, to trzeba pamiętać, że w pewien niedostrzegalny pozornie sposób łączą oni w sobie cechy samego pisarza, jego myśli i dążenia. Bołkoński — człowiek o wysokich zasadach moralnych, gotów do poświęcenia się bez reszty w imię tego, co uważa za wartość najwyższą; Bezuchow — ociężały, niezgrabny, roztargniony i wrażliwy, ulegający różnym wpływom zarówno umysłowym, jak i uczuciowym. Cechuje go nieustanne poszukiwanie ideału, poszukiwanie sensu życia. Szuka go w zbliżeniu z masonerią, w fatalistycznym pojmowaniu świata chłopa Karawajewa, wreszcie w ideologii dekabrystów.

Wreszcie obaj oni: Bołkoński i Bezuchow — każdy na innym etapie swego życia gospodarując na wsi — gorliwie zajmują się tak zawsze żywotną dla Tołstoja sprawą polepszenia doli chłopa.

Może najbardziej istotna — a charakterystyczna dla całokształtu twórczość Tołstoja — jest w powieści atmosfera mistycznego fatalizmu, zasada „niesprzeciwiania się złu". Odzwierciedla się ona nie tylko w postępowaniu Bezuchowa, nie tylko w chłopskiej filozofii Karawajewa, ale nawet — w pewnym sensie — w

W latach 1863-69 powstaje powieść „Wojna i pokój". Było to — jak stwierdzał sam Tołstoj — *„pięć*

zniesienia prywatnej własności ziemskiej.

Takim również duchem protestu przesiąknięta była jego trzecia z kolei wielka powieść pt. „Zmartwychwstanie", pisana z dużymi przerwami w latach 1889-1899.

*

U źródeł powstania „Zmartwychwstania" leżał fakt autentyczny: Na sali sądowej uwodziciel występujący jako sędzia przysięgły spotyka się z oskarżoną, niegdyś jego ofiarą. Spotkanie to tak wstrząsa jego sumieniem, że postanawia związać swe losy z życiem skazanej na zesłanie dziewczyny. Utwór, osnuty na tym wypadku, miał początkowo posłużyć autorowi za ilustrację do rozważań natury psychiczno-moralnej, a mianowicie — w jakim stopniu człowiek jest odpowiedzialny za postępki wynikające z nieopanowanej zmysłowości. W toku pracy nad powieścią, w wyniku mnóstwa przeróbek, powstała powieść o szerokiej tematyce aktualnej, o bogatym podłożu polityczno-społecznym, ukazująca w przekroju życie całej ówczesnej Rosji.

Poprzez najwyższe sfery arystokracji, wyższych urzędników, ziemiaństwo, duchowieństwo, prowadzi nas autor w środowisko kupieckie i wojskowe. Widzimy tu rzemieślników, robotników i chłopów. Obserwujemy również charakterystyczne dla tej powieści stosunki wewnątrzwięzienne z naczelnikiem więzienia, dozorcami i masą więźniów, z której wyłaniają się zarówno rewolucjoniści, jak i zwykli kryminaliści. Ludzie winni i niewinni, których dzięki ich zahukaniu i ciemnocie biurokratyczna machina sądowa wciągnęła w swe miażdżące tryby.

Sprawa księcia Niechludowa i Katiuszy Masłowej — nie przestając być centralnym zagadnieniem utworu — pozwala Tołstojowi na ukazanie najbardziej mrocznych zakamarków rosyjskiego absolutyzmu.

„Zmartwychwstanie" jest dziełem o nie spotykanej w literaturze światowej psychologicznej głębi, dziełem wielkiego realizmu, których nie osłabia myśl przewodnia utworu, że droga do szczęścia ludzkości prowadzi jedynie i wyłącznie przez indywidualne udoskonalenie się moralne, przez ewangeliczne wypełnienie postulatów powszechnego przebaczenia, miłości i czystości. W „Zmartwychwstaniu" zawarł Tołstoj całokształt swych poglądów, które ostatecznie oddaliły go od swej klasy, od prawosławia, które w osobach swych najwyższych przedstawicieli wyklęło Lwa Tołstoja na synodzie w 1901 roku.

Wreszcie godnym podkreślenia jest kontrast — występujący zarówno w „Zmartwychwstaniu" jak i innych powieściach — między genialnie ukazaną prawdą życia a oderwaną od życia i nierealną ideologią, która w gruncie rzeczy nie rozwiązuje problemu sprawiedliwości społecznej, ograniczając się w najlepszym razie do przełomu czy odrodzenia moralnego w duszy Bezuchowa, Lewina czy wreszcie Niechludowa.

*

W okresie pracy nad „Zmartwychwstaniem" jak też i później powstają m. in. nowele „Ojciec Sergiusz", „Gospodarz i parobek", powieść „Madżi-Murat (charakterystyczna z tego powodu, że Tołstoj częściowo sprzeniewierza się tu swej zasadzie „niesprzeciwiania się złu", podobnie jak czyni to w sztuce „Żywy trup", gdzie bohater zrywa z rodziną i swym środowiskiem, a nawet staje się wykolejeńcem, ponieważ ramy usystematyzowanego, mieszczańskiego życia są dla niego za ciasne).

W długim artykule pt.: „Co to jest sztuka?" podsumowuje Tołstoj swe poglądy nad istotą i zadaniami sztuki w służbie ludu: „*Sztuka* — pisał *to wielka rzecz. Sztuka jest organem życia ludzkości transponującym rozumną świadomość ludzi na uczucie*"*).

*) M. Gudzij — Lew Tołstoj.

Po przebytej w latach 1901-1902 ciężkiej chorobie sędziwy już pisarz wraca do sił nie tylko fizycznie, czuje się także pełen energii i zapału do dalszej walki o swe ideały.

Pełen złośliwości i chęci dokuczenia mu stosunek żony sprawia, że Tołstoj powraca do myśli opuszczenia Jasnej Polany. Były też i inne przyczyny, dla których życie w Jasnej Polanie stawało się dla pisarza wręcz nieznośne.

„Pełno ludzi, wszyscy wystrojeni, jedzą, piją, rozkazują. Służba biega, spełnia rozkazy. Dręczę się więc i dręczę coraz bardziej, jest mi coraz trudniej brać udział w tym wszystkim i milczeć... coraz bardziej ubolewam nad własnym dobrobytem i otaczającą mnie biedą").*

Rok 1905 najwidoczniej zachwiał Tołstojowską zasadę „niesprzeciwiania się złu". Aczkolwiek z jednej strony zasadniczo potępia działalność rewolucjonistów, jednakże już w obliczu samych wydarzeń rewolucyjnych pisze: *„Zdarzenia następują po sobie niebywale szybko i regularnie. Być niezadowolonym z tego, co się dzieje — to znaczy być niezadowolonym z jesieni czy zimy, nie myśląc o wiośnie, do której one nas zbliżają"**).*

*) Tamże.
**) Tamże.

Prześladowania, jakie zapanowały po upadku rewolucji 1905 r., wstrząsnęły Tołstojem do głębi, co uwidoczniło się w napisanym przez niego w r. 1908 artykule pod znamiennym tytułem: „Nie mogę milczeć", w którym autor ostro protestował przeciw karom śmierci, stosowanym przez rząd carski wobec uwięzionych rewolucjonistów.

W prowadzonym przez siebie „tajnym" (głównie przed żoną ukrywanym) pamiętniku swych ostatnich lat Tołstoj coraz częściej pisze o zamiarze ucieczki z Jasnej Polany, gdzie atmosfera przepychu tak go raziła na tle nędzy okolicznego chłopstwa.

I oto pod datą kwiecień 1910 r. czytamy:

„Dręczący smutek z powodu nikczemności własnego życia pośród ludzi pracujących po to tylko, aby zaledwie uchronić się przed śmiercią z głodu i chłodu, uchronić siebie i rodzinę... Wczoraj przejeżdżałem obok robotników tłukących kamienie, doznałem uczucia jak gdyby pędzono mnie przez rózgi").*

Wreszcie plan ucieczki dojrzał. Dnia 9 listopada opuszcza miejsce swego urodzenia i długich lat życia. Krótka jednak była to wędrówka. W swej drodze w nieznane dostaje zapalenia płuc i dnia 20 listopada 1910 roku umiera na przystanku kolejowym Apanowo. Zgodnie z życzeniem pochowany został w lesie koło Jasnej Polany.

*) Tamże.

*

SYSTEM filozoficzny Tołstoja, oparty na błędnych przesłankach, nie mógł zdać praktycznego egzaminu i egzaminu tego nie zdał.

Miarą wielkości Tołstoja, miarą jego geniuszu, uznanego przez cały cywilizowany świat, jest jego twórczość literacka, w której zrealizował on postawioną przez siebie zasadę reagowania na wszystkie sprawy natury moralnej i społecznej, przedstawienia ich czytelnikowi w doskonałej (dziś powiedzielibyśmy: komunikatywnej) formie artystycznej. Jednak że wysoką jakość formy uznawał on jedynie jako środek do przekazania treści o bogatym ładunku ideologicznym.

Jeśli dziś cenimy Tołstoja jako jednego z największych pisarzy świata, powinniśmy uprzytomnić sobie, że ta wielkość wynikała nie tylko z jego talentu. Wynikała ona również z wysokich wymagań, jakie sobie stawiał, z niesłychanej pracowitości, dzięki której mógł tym wymaganiom sprostać.

Wiemy, jak licznym opracowaniom, redakcjom i przeróbkom ulegały jego poszczególne dzieła w czasie ich powstawania, otrzymując coraz to doskonalszy kształt.

Oto jak Tołstoj definiuje zadania i obowiązki prawdziwego twórcy-pisarza:

Myśliciel i artysta nigdy nie zazna spokoju Olimpijczyków, jak skłonni jesteśmy zazwyczaj sobie wyobrażać... Jest, zawsze i wiecznie pełen niepokoju i wzruszenia, że oto mógł rozstrzygnąć i powiedzieć coś, co byłoby z pożytkiem dla ludzi, uchroniło ich od cierpień, przyniosło ulgę, a nie powiedział tego tak, jak należało, przedstawił niewłaściwie, że w ogóle nic nie rozstrzygnął i nie powiedział, a jutro być może będzie już za późno — umrze... Myśliciel lub artysta nie może być płytki, beztroski i zadowolony z siebie".

Zawsze żywe i zawsze aktualne są dziś dla nas i będą dla przyszłych pokoleń dzieła Lwa Nikołajewicza Tołstoja, tego — jak powiedział o nim Gorki — *„najbardziej skomplikowanego człowieka wśród najwybitniejszych ludzi XIX wieku".*

Gracjan Kozłowski

WIELKI SKOK

Dokończenie ze str. 7

— Kolego! — pisnęła Marysia do instruktora — a czy on się w powietrzu połapie gdzie góra, gdzie dół. Gotów jeszcze wszystko zrobić na odwrót.

— Nie strasz, Maryśka — warknął Maliniak ze złością. — Zobaczymy jak na ciebie kolej przyjdzie.

— Nic się nie bój, Stefan — uspokajał Pawlicki — będzie dobrze. Banaszyński miał nawet wcale ładną figurę. Przecież skakałeś kiedyś.

— Przed laty. Jeszcze z oczami. Teraz jakbym zupełnie zaczynał od nowa. No, niech się dzieje, co chce. Skaczę!

Zachwiało się naraz wszystko i już nie było Maliniaka. Henryk zdrętwiał w oczekiwaniu.

Pod wieżą chlusnęło tak silnie, jakby trzech Banaszyńskich rzuciło się do wody. Pawlicki zaczął bić brawo.
— Troszkę bokiem poszedł — wyjaśnił — dlatego taki hałas. Ale całkiem nieźle.

— Słuchajcie! Słuchajcie! — Marysia bawiła się w megafon — Maliniak skoczył z wieży. Brawo Łódź! Brawo!

Serce biło Henrykowi mocniej niż zwykle. Przyśpieszona krew rozpierała tętnice. Więc jak trzeba? Nogi razem do tyłu i w górę. Jak to zrobić? Nic teraz nie wie, nic nie rozumie. Zupełnie nic.

Postąpił krok naprzód.

— Jeszcze jeden — ucieszył się Pawlicki — To pięknie.

Smakował przez chwilę sprężyste kołysanie deski i cofnął się z sercem pełnym wstydu oraz goryczy. Jakby naraz całe życie waliło się na człowieka. Jakby podpisywał na siebie jakiś straszliwy, beznadziejny wyrok.

Na dole wciąż jeszcze grzmiały oklaski, a sapiący bohater pruł basen jak rozjuszony mors.

— To ci dopiero frajda, powiadam wam! Leci człowiek jak ptak. Skaczę drugi raz. Już teraz wiem co i jak.

Wdrapał się na wieżę ociekając wodą, buchając zadowoleniem. Wbiegł na trampolinę i znów wszystko się zachwiało.

Henryk zacisnął dłonie aż do bólu. Teraz albo nigdy! Nie namyślać się! Przecież to chwila. Żeby to już znaleźć się na dole, gdzie woda kipi dumą i radością Maliniaka.

Wbiegł na trampolinę, nie zważając na jakieś zapytanie, które rzuciła mu Marysia. Wiedział tylko tyle, że po rozmachu uszy mają przylegać do ramion, wyprężonych jak dziryt, który przeszyje powietrze.

Deska z usłużnym skrzypnięciem poddała się ciężarowi ciała i miękko lecz stanowczo wyrzuciła go w dal...

*

...Teraz rozumiem spadochroniarzy, pani doktór — opowiadał przy obiedzie, nie dając przy swym stole nikomu innemu dojść do głosu. — Właśnie tak muszą czuć się spadochroniarze, gdy skaczą z samolotu w ciemną noc i lecą, a spadochron jeszcze się nie otworzył. Ja też leciałem, leciałem. Już nawet niewiadomo dokąd. O nic zatrzymać się nie można. Dziwny strach mnie ogarnął. Ale wiedziałem, że już się nic nie poradzi. Muszę lecieć do końca. I nawet żałowałem przez chwilę, że się w ogóle odważyłem.

Doktór Alicja nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— Ale przecież cały skok trwał chwilkę. Kiedyś ty miał czas na to wszystko?

— Przyznaj się, Heniek — śmiał się Leon, widzący przewodnik grupy — że nie myślałem wtedy o niczym, a dopiero teraz myślisz.

— Nieprawda — zaperzył się triumfator — Niech inni spróbują. Każdy zobaczy, jak do długo trwa. Ja też bym przedtem nie uwierzył. Dopiero po bardzo długiej chwili uderzyłem w coś twardego. Jakbym dłońmi przedarł jakieś płótno czy kotarę i cały się szparą prześliznął. Tam było chłodno i też przyjemnie. Zwykłym nurkiem nigdy tak głęboko nie sięgniesz.

— No pewnie — przyznała zgodnie opinia stołu.

— Na chwilę zgubiłem się nawet i nie wiedziałem, gdzie góra a gdzie dół. Sama woda mnie wyniosła.

Dziewczęta z kuchni zaczęły zbierać nakrycia ze stołów.

— Żałuję, Heniu, że tego nie widziałam. — Doktor Alicja z przyjemnością przyglądała się różnicy wyrazu pociągłej twarzy, ocienionej ciemnymi szkłami okularów. Była dziś pogodna, jak bezchmurny dzień.

— Skakał potem jak wariat — dorzucił najbliższy, obozowy sąsiad Henryka, Franek Dankiewicz. Mówił z przejęciem, jakby i on poczuwał się do udziału w sukcesie towarzysza. Może i on z kolei gromadził siły do podobnej decyzji. — Ileś ty razy dzisiaj skoczył?

— Chyba z sześć. Nie liczyłem zresztą — śmiał się Henryk — Wiem tylko, że raz więcej od Maliniaka.

Wszyscy wstawali już z ławek, gdy komendant zaklaskał od swego stołu.

— Mam dla was ważną wiadomość. Zrzeszenie „Spójnia" z Giżycka zaprasza w niedzielę nasz obóz na regaty wioślarskie. Wystawimy czwórkę ze sternikiem do biegu na kilometr. Dlatego — starał się zagłuszyć gwar, który wzbudziła nowina — dziś o czwartej wypływamy na trening na jezioro. Wszyscy jak zawsze. Radzę wypocząć i przypominam o ciszy. Hałasujące namioty pozostaną.

Henryk usłyszał naraz obok siebie doktor Alicję.

— Mnie pewno znów przypadnie w udziale opieka nad kajakami. Tym razem nie jadę „Dianą". Jest za wolna. A może weźmiesz mnie Heniu do swego kajaku? Albo wiesz. Uproszę u komendanta „Łynę". Dowódcy flotylli należy się chyba kajak z żaglem, taki admiralski kajak, prawda?

Rozumiał dobrze i był wdzięczny. Niedawna rozmowa na spacerze wymagała teraz zamknięcia głębszego i pełniejszego niż pośpieszna, żarotobliwa i bezładna gawęda przy obiedzie. Na kajaku dopowie najważniejsze co pozostało.

Wiatr pofalował powierzchnię jeziora. Wierzchołki drobnych fal lizały wysuniętą dłoń, klaskały swawolnie o burtę. Wiatr rozbudził dziś głębokie wody skłonne do sennej ciszy. Ostra woń jeziora biegła z podmuchami wzdłuż brzegów. Kępy szuwarów ostrzegały o sobie smętnym chrzęstem trzcin.

I znów na środku kajaki i łodzie rozbiegały się na wszystkie strony. Gonił je przez tubę głos Pawlickiego. Czwórka wyścigowa ćwiczyła przed niedzielnymi zapasami. Doktór Alicja też czasem składała dłonie w trąbkę i hukała ostrzegawczo. Niektóre załogi płynęły w dal i zawracały same, znajdując prawidłowo okolicę macierzystej „Łyny" podług kierunku wiatru.

Na admiralskim kajaku wiatr przybrał kształty jędrnie wygiętego żagla. Henryk raz po raz powstawał, aż się kajak kolebał i z satysfakcją ugniatał wydęty płat. Wiatr nie poddawał się łatwo, odpowiadał całą siłą swego oddechu. Prężył płótno jak muskularne ciało. Gdy lekarka oderwała czujne spojrzenie od rozproszonej, rozwiosłowanej gromadki, natrafiła na zabawę Henryka. — Wiesz, jak mógłbyś nazwać ten żagiel? Policzkiem Eola. Był to grecki bóg wiatrów. Wydymał policzki i dmuchał na świat. Pędził swym oddechem statki Odyseusza, Eneusza i wielu innych sławnych żeglarzy. My też wyglądamy teraz jak flotylla grecka, rozpędzona na wszystkie strony.

Zatoczyli szeroki krąg po wodzie. Lekarka sterowała. Woda pieniła się pod sterem, ściągniętym na przekór wiatrowi. Henryk trzymał linki żagla i wsłuchiwał się w szeleszczącą, rozpluskaną pogwarkę głębokich wód.

— Ach, jaki swobodny czuję się dzisiaj — podjął, gdy przebiegli półkole i na znak lekarki przerzucił drążek żeglowy na drugą burtę. — Zupełnie, jakbym się wyzwolił od czegoś, co krępowało przez lata. Od chwili, gdy skoczyłem, wydaje mi się, że wszystko musi mi się udać. Może to dziwne dla kogoś, ja czuję to wyraźnie.

— Doskonale cię, Heniu, rozumiem. Pociągnij teraz linkę trochę w lewo. Zdaje się, że Marysia i Franek zgubili wiosło w trzcinach. A to niezgraby. Tyle razy mówiło się, żeby kłaść wiosło do kajaka, gdy się chwyta za trzciny.

— To było coś więcej niż skok z wieży, pani doktor — ciągnął, poddając się nowemu przechyleniu kajaka. — To była próba życia. Przebyłem ją, zaufałem instruktorowi do końca i wiem, że nie marnuję pobytu w obozie.

Z boku rozległy się okrzyki. Marysia wyłowiła wiosło. Stuknęło samo o burtę, przygnane wiatrem. Henryk zwolnił linkę. Wydęty policzek Eola zwiotczał od razu.

— Mam prośbę, pani doktor. Bardzo chciałbym... To dużo czas nie zajmie.

— Powiedz, Heniu! Zrobię z radością.

— Matka tak się przejmowała, czy sobie dam radę na obozie. Czy mi pani napisze list do domu? Poradziłem sobie przecież ze wszystkim. Chciałbym ją uspokoić. Jak wrócę, zobaczy sama, że lepiej radzę sobie i na ulicy i w warsztacie. I wszędzie!

W oddali rozległ się ostry, przerywany gwizdek Pawlickiego. Komendant wzywał do powrotu na przystań.

Leszek Prorok

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA GDAŃSK
CIV 9013

Kilka słów o:

teatrze

ROZPOCZĘCIE NOWEGO SEZONU TEATRALNEGO W MOSKWIE

Teatr im. Wachtangowa rozpoczął 22 sierpnia nowy sezon teatralny sztuką „Jegor Bułyczew i inni". 30 sierpnia odbyła się również premiera sztuki A. Krona „Kandydat partii" (w nowej redakcji). Spektakl przygotował B. Zachawoj.

23 sierpnia rozpoczął sezon jesienny Teatr Mały sztuką J. Popowa i A. Stepanowa „Port Artur" (Wg powieści pod tym samym tytułem A. Stepanowa). Przedstawienie wystawia K. Zubow i P. Markow.

W filii Teatru Małego idzie tragedia Lessinga „Emilia Galotti" w reżyserii W. Cygankowa. Zespół tego teatru pracuje również nad wystawieniem sztuki A. Satyńskiego.

Do repertuaru tego teatru włączono sztukę Sofronowa „Złote lipy". Tematem sztuki jest życie współczesnej inteligencji radzieckiej.

WYSTĘPY PRASKIEGO ZESPOŁU PIEŚNI I TAŃCA W ALBANII

W sierpniu bawił w Albanii amatorski zespół pieśni i tańców ludowych z Pragi „Józef Vispalka". Poza stolicą artyści czechosłowaccy dali koncerty we wszystkich większych miastach a także w różnych ośrodkach robotniczych. Zespół zwiedził również liczne zabytki historyczne i instytucje kulturalne kraju, a w serdecznych rozmowach z albańskimi ludźmi sztuki dokonano wzajemnej wymiany doświadczeń.

NOWE SZTUKI W TEATRACH PARYSKICH

Po dłuższej przerwie wakacyjnej teatry paryskie przygotowują się do jesiennego sezonu. Ogólne zainteresowanie wzbudza nowa sztuka o Joannie d'Arc napisana przez Anouilha oraz wystawiony przez le Marigny nie wydany dotąd dramat Giraudoux „Pour Lucrèce". Jean-Louis Barrault rozpoczyna natomiast realizację ciekawego projektu, nad którym pracował od szeregu lat. Będzie to „Mały teatr studio", który stawia sobie za zadanie popularyzację nowych, wartościowych i niedocenionych przez krytyków sztuk.

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA CHIŃSKIEJ RL PRZYBYŁ DO WARSZAWY

26 b. m. przybył do Warszawy 139-osobowy Zespół Pieśni i Tańca Chińskiej Republiki Ludowej.

PRAPREMIERA SZTUKI O KOPERNIKU

W ramach obchodu roku kopernikowskiego odbyła się w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu prapremiera nowej sztuki Romana Brandstaettera pt. „Kopernik".

Plastyce

WYSTAWA OBRAZÓW MISTRZA FRANCUSKIEGO ROMANTYZMU

Muzeum Sztuki w szwajcarskim mieście Winterthour organizuje we wrześniu wielką wystawę dzieł Teodora Géricault (1791-1824). Muzea z Glasgow, Gand, Rotterdamu, Wiednia i Monachium wypożyczyły posiadane przez siebie obrazy tego malarza. Publiczność będzie więc mogła obejrzeć około dwustu dzieł mistrza francuskiego romantyzmu, którego imię jest nierozłącznie związane z epoką napoleońską.

MALARSTWO ROSYJSKIE I RADZIECKIE W BERLINIE

Dużym wydarzeniem w Berlinie stała się wystawa „Współczesne radzieckie i przedrewolucyjne rosyjskie malarstwo", na której pokazano oryginały dzieł radzieckich i rosyjskich mistrzów malarstwa i grafiki. Przewieziono tu ponad 150 obrazów z Trietiakowskiej Galerii i Państwowego Muzeum w Moskwie i Leningradzie.

Wystawa zawiera dwa działy: w pierwszym znajduje się współczesne malarstwo radzieckie, m.in. nagrodzony Nagrodą Stalinowską obraz zespołu malarskiego Jefanowa, Grizai, Kotliarowa, Maksimowa, Stawickiego, Sudakowa i Szczerbatowa pt. „Posiedzenie Prezydium Akademii Umiejętności ZSRR".

W drugim dziale znajdują się obrazy z okresu rosyjskiego realizmu z końca XVIII w. do Rewolucji Październikowej.

WYSTAWY SZCZECINA

W Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie otwarto wystawę malarstwa polskiego od XVIII wieku do okresu współczesnego. Do najciekawszych eksponatów wystawy należą: szkice Matejki, obrazy Brandta, Filipkiewicza i Lampiego. Osobną salę zamują obrazy z cyklu „Szczecin w odbudowie", których autorami są m. in. Frankowski i Haberko.

WYSTAWA RYSUNKÓW SCHÖNBRUNA

W Krakowie otwarto ciekawą wystawę rysunków Schönbruna p. t. „Nieznane zabytki Krakowa — podwórce i sienie Rynku Głównego". Artysta ze szczególnym zamiłowaniem zajmuje się starymi gotyckimi, renesansowymi i barokowymi portalami oraz krużgankami. Na szczególną uwagę zasługują rysunki przedstawiające fragmenty pięknych podwórców „Pod Baranami" — budynku, gdzie mieści się obecnie Dom Kultury Z. Z.

Filmie

NAGRODY NA FESTIWALU FILMOWYM W WENECJI

24 b. m. opublikowano w Wenecji decyzję jury IV Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dokumentalnych i Krótkometrażowych o przyznaniu nagród za najlepsze filmy.

Nagrodzono ogółem 10 filmów, wśród nich radziecki film dokumentalny „Arena śmiałych" i film polski „Warszawa". Wśród najlepszych pełnometrażowych filmów dziecięcych wyróżnionych przez jury znajduje się film radziecki „Czuk i Hek".

PIOTRUŚ PAN DISNEYA W WIELKIEJ BRYTANII

Poprzedzony wielką kampanią propagandową został wprowadzony na ekrany kin angielskich nowy film rysunkowy Disneya „Przygody Piotrusia Pana". Nową postać disneyowską zaczerpnięto z książki J. M. Barrego, która jest najulubieńszą powieścią angielskich dzieci. Sprepa rowany przez Disneya na tle tej książki film wywołał wielkie oburzenie w Wielkiej Brytanii. Piotruś Pan najbardziej przypomina gangstera — Disney uśmiercił baśń — mówią artyści. Amerykański film zabił ulubioną powiastkę dla dzieci — narzekają rodzice.

W CZĘSTOCHOWIE NAKRĘCAMY NOWY FILM

W Częstochowie na terenie huty „Bierut" nakręca się obecnie nowy polski film fabularny p. t. „Bielawa" według scenariusza Adama Ważyka. Treścią jego będzie działalność jednego z zagranicznych ośrodków dywersyjnych wymierzona przeciwko Polsce. Główna akcja filmu rozgrywa się w dużym zakładzie przemysłowym, który wróg usiłuje zniszczyć przy pomocy nasłanego szpiega. Dywersyjna akcja natrafia jednak na zdecydowaną postawę załogi, która paraliżuje te zamierzenia.

W filmie zobaczymy wybitnych aktorów z różnych teatrów w Polsce. W rolach głównych wystąpią Urszula Modrzyńska z Poznania, Jan Sardecki z Warszawy, Feliks Żukowski z Łodzi oraz Ludwik Benoit z Wrocławia. Kierownikiem produkcji jest Jerzy Nitecki, film realizuje Maria Kaniewska i Wadin Berestowski.

„NIEMCY" I „LEWANTY" ZOBACZYMY NA EKRANIE

Otwarta w dniu Święta Odrodzenia Wytwórnia Filmów Fabularnych we Wrocławiu, rozpoczęła 21 bm. realizację pierwszego filmu. Jest to ekranizacja znanej sztuki Kruczkowskiego „Niemcy". Realizacją filmu, który stanowi etiudę szkoleniową, zajmują się studenci IV roku Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi.

Następnym filmem szkoleniowym nakręcanym we wrocławskiej wytwórni będzie film „Lewanty", oparty na powieści Andrzeja Brauna.

Wszystkim

BUDOWA SZKOŁY BALETOWEJ

W Warszawie przystąpiono do budowy pierwszego fragmentu Teatru Wielkiego, a mianowicie zakładane są fundamenty pod nowy budynek Szkoły Baletowej. Budynek Szkoły Baletowej o kubaturze 46 tys. m. sześć. będzie mieścił 10 sal wykładowych, jedną dużą salę baletową, 4 mniejsze, czytelnie, pokoje dla charakteryzacji i magazyny oraz amfiteatralne audytorium na 300 osób.

POLSCY MUZEOLODZY WYJECHALI DO MOSKWY

18 sierpnia wyjechała na dwutygodniowy pobyt delegacja polskich muzeologów w składzie: dyr. Muzeum Narodowego w Poznaniu, dyr. Muzeum Narodowego w Krakowie prof. T. Dobrowolski, i wicedyr. Muzeum Narodowego w Warszawie prof. K. Michałowski.

»KSIĘGA UMARŁYCH«

JEŻELI ktoś wypowie przy nas słowa — „Starożytny Egipt", w umyśle naszym na kształt echa odpowiedzą mu natychmiast takie skjarzenia, jak — piramidy, faraon, sfinks, skarabeusze, papirusy... lub ożwą się zapamiętane fragmenty Starego Testamentu czy „Faraona" Prusa. I na tym właściwie wyczerpuje się nasz cały zapas wiedzy o Starożytnym Egipcie.

Nie po to jednak piszę te słowa, aby biadać w nich nad niepopularnością i słabiutką u nas znajomością wiedzy egiptologicznej. Przyświeca mi bowiem inny cel — pragnę się podzielić z Wami, o Czytelnicy, kilkoma faktami, które wzbogacą Waszą wiedzę o prastarej kulturze Egiptu. Zanim jednak do nich przejdę, muszę Wam powiedzieć, że sam znajomość ich zawdzięczam przeczytaniu dwu opublikowanych przez Tadeusza Andrzejewskiego, znajdujących się w Polsce papirusów treści religijnej, to jest tzw. „Księgi Umarłych kapłana-pisarza Nefer-hotepa" (Kraków, 1951 r.) i „Księgi Umarłych piastunki Kai" (Warszawa, 1951 r.).

Cóż to za Księgi o ponurym tytule? — zapytacie. Na pytanie to da Wam odpowiedź bardzo jeszcze młoda, bo dopiero 131 lat sobie licząca, ale już pięknie rozwinięta nauka o Starożytnym Egipcie, słusznie egiptologią zwana.

Lat temu blisko cztery tysiące i dwieście, nad brzegami Nilu, potężni władcy V i VI dynastii władających Czarną Ziemią (jak swój kraj nazywali Egipcjanie) budowali rękami tysięcznych mas niewolników olbrzymie grobowce — piramidy. Ściany komór grobowych znajdujących się wewnątrz piramid, w których spoczywały zabalsamowane zwłoki królewskie, pokrywały hieroglificzne napisy, stanowiące pierwszą historycznie, pełną wersję Księgi Umarłych, zwaną Tekstami Piramid.

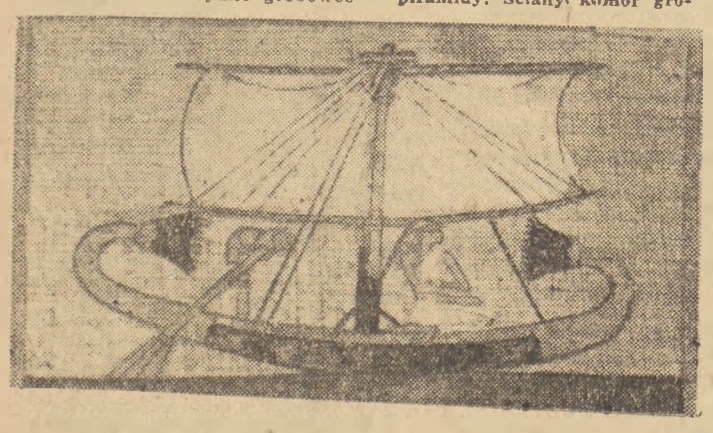

Ich kontynuacją w okresie Średniego Państwa egipskiego (XXII-XVI w. a. Chr. n.) stanowiły Teksty Sarkofagów, zapisywane na wewnętrznych ścianach drewnianych trumien, w których chowano zwłoki wielmożów egipskich.

Zakończenie ciągu rozwojowego typu piśmiennictwa reprezentowanego przez Teksty Piramid i Teksty Sarkofagów stanowi powstała w okresie Nowego Państwa (XVI—XI w. a. Chr. n.) właściwa Księga Umarłych. Spisywano ją na zwojach papirusu, wkładanego nieboszczykom do trumien. W tej postaci została ona udostępniona , przynajmniej formalnie, także średnim i niższym warstwom wolnej ludności Egiptu.

Istotą Księgi Umarłych była pełniona przez nią funkcja religijno-magiczna. Aby zrozumieć jej znaczenie, musimy pokrótce zapoznać się z poglądami Egipcjan na życie pozagrobowe. Otóż religia egipska uczyła, że człowiek po śmierci kontynuuje swe życie ziemskie bądź w Państwie Umarłych leżącym w tzw. Krainie Zachodniej (droga do której prowadziła poprzez szereg bram a następnie karawan serajów zwanych arit), bądź też ponownie na ziemi, zgodnie z koncepcją metempsychozy — w różnych ciałach — ludzkich lub zwierzęcych. Celem zaś zapewnienia człowiekowi po śmierci szczęśliwego bytowania w zaświatach „powstało wiele obrzędów magicznych, w czasie wykonywania których wypowiadano szereg formuł i zaklęć. Zbiór tych formuł i zaklęć nazywamy Księgą Umarłych" (Andrzejewski). Po tym wyjaśnieniu zrozumiałą staje się nam funkcja i tytuł Księgi Umarłych.

Dla zrozumienia treści Księgi Umarłych winniśmy zorientować się jeszcze w dwóch wielkich cyklach legend mitologii egipskiej — ozyriańskim i słonecznym. „Cykl ozyriański... opowiada dzieje boga Ozyrysa, który miał królować na ziemi. Jego brat Set z zazdrości o władzę zabił go. Bogini Izyda, żona Ozyrysa, urodziła po śmierci męża syna Horusa, którego następnie wraz ze swą siostrą boginią Neftydą wychowała w ukryciu — w bagnach Delty. Horus, gdy osiągnął wiek męski, długo i krwawo walczył z Setem, spór ich wreszcie rozstrzygnęli bogowie dzieląc między nich równe części ziemi. Ozyrys zaś wskrzeszony przez Izydę do życia pośmiertnego, został władcą w Państwie Umarłych. W Epoce Późnej Ozyrys stał się symbolem dobra. Set zaś — zła. Drugi cykl — słoneczny — omawia wędrówkę słońca dzienną i nocną; obie one odbywają się w łodziach — Egipcjanie bowiem uważali niebo m. in. za obszar wodny. Według innych wierzeń słońce rodziło się co rano jako bóg Cheperi, w ciągu dnia było bogiem Re, wieczorem wreszcie stawało się bogiem Atum. Na zachodnim widnokręgu słońce przesiadało się do Wieczornej Łodzi i wędrowało pod ziemią przez Krainę Zachodnią, świecąc Ozyrysowi i zmarłym. W czasie wędrówki słońce było atakowane przez węża (lub smoka) Apepa, symbolizującego ciemności, który jednak zawsze walkę ze słońcem przegrywał" (Andrzejewski).

Treść Księgi Umarłych wyrażała niewątpliwie wysoki poziom etyczny Egipcjan. Według zawartej w niej (tzw. spowiedzi negatywnej było grzechem — czynić źle innym ludziom, zabijać, kłamać, kraść, cudzołożyć, dać się powodować namiętnościom, być egoistą, niszczyć dobro społeczne, bluźnić, przekraczać prawo oraz uprawiać „czarną magię" (według J. Cohorowicza „Wiedza tajemna w Egipcie").

O niejednokrotnie pięknej i poetycznej szacie obiekającej wyrażane w Księdze Umarłych myśli oraz o jej ciekawym przez swój egzotyzm i archaizm stylu językowym niechaj świadczy poniższy fragment (rozdz. 77 „Księgi Umarłych piastunki Kai" w tłum. T. Andrzejewskiego:

Pojawiłam się, pojawiłam się jako wielki sokół, który wykluł się ze swego jajka.
Przyleciałam, przyfrunęłam jako sokół o grzbiecie na cztery łokcie i skrzydłach z malachitu Południa.
Wydobyłam się stamtąd, z pomieszczenia Wieczornej Łodzi.
Przybyłam i przyniesiono mi serce moje z góry wschodniej.
Trzepotałam się w Porannej Łodzi".
„Przyszłam i przyprowadzono mi tych, którzy są w prabycie swoim i którzy mi biją pokłony.
Pojawiłam się, zespoliłam się w jedno z pięknym sokołem ze złota o głowie Beau.
Przychodzi co dzień Re, aby były słyszane słowa jego.
Zasiadam wśród wszystkich tych wielkich bogów nieba.
Zasiadam a Pole Pokarmów leży przede mną".

Teraz, kiedy wiedza Wasza o zmarłej kulturze Starożytnego Egiptu wzbogaciła się kilkoma faktami z życia religijnego jego mieszkańców, nie pozostaje mi już nic innego, jak podkreślić walory polskiego tłumaczenia Księgi Umarłych i życzyć Wam, Czytelnicy, jak najszybszego wzbogacenia waszych bibliotek z kolei, o cenne i oryginalne, omówione powyżej publikacje.

JERZY S. DAHL

Czytelnicy piszą

Wielce Szanowna Redakcjo!

W wierszu p. Anny Oreszko p.t. „Wieczór warszawski", zamieszczonym w tygodniku „Dziś i Jutro" Nr 33/403 z dnia 16.VIII.53, str. 12, zakradł się wyraźny błąd prozodyczny, który bezwiednie zapewne popełniła autorka. W imię poprawności cytowania tekstów obcojęzycznych w naszej prasie, pozwalam sobie na zwrócenie uwagi na ten błąd.

Mianowicie w piątej strofie, wiersz pierwszy i drugi:

To jak gdyby okazja,
„Quasi una fantasia",

mają rym nieprawidłowy, ponieważ wyraz włoski „fantasia" w końcówce posiada dwie zgłoski, a nie jedną (t. zw. po włosku „iato", a nie „dittongo"), to znaczy że wymawia się jako wyraz czterozgłoskowy „fan-ta-si-a", a nie jako trzyzgłoskowy „fan-ta-sia", co byłoby grubym błędem wymowy włoskiej i stąd też nie może wyraz ten w swej końcówce rymować z polskim wyrazem „okazja"; nie można bowiem zniekształcać wymowy wyrazu „o-ka-zja" na „o-ka-zy-ja", czy „o-ka-zi-a" (dziwoląd), jak tego wymagałby rym i rytm. Stąd więc konstrukcja prozodyczna dwu pierwszych wierszy piątej strofy wymienionego utworu ukłuje dotkliwie przy czytaniu Włocha znającego język polski, a ucho włoskie tak muzykalne, są bardzo, bardzo wrażliwe...

Żywię nadzieję, że Autorka utworu, odznaczającego się zresztą dużymi zaletami rytmicznymi, nie uczuje się dotknięta i nie będzie miała żalu do mnie za tę skromną uwagę, którą ośmieliłem się Jej zwrócić.

Walerian Preisner

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 31 (401) z dn. 2. VIII. br. Waszego pisma zamieszczono notatkę pt. „Zakończenie zdjęć do filmu „Skanderberg" (str. 12).

Użycie w niej imienia Skanderberg jest błędem (nie wiem —rzeczowym czy drukarskim), błędem wprawdzie małym, ale istotnym; jego istota polega na tym, że jest on właściwie... germanizmem.

Wnioskując z treści notatki, idzie w niej o bohatera narodowego Albanii — Skanderbega. Nie od rzeczy więc będzie, w sprostowaniu, przypomnieć kim był Skanderbeg.

Jerzy Kastriota (znany pod tureckim imieniem Iskanderbeg'a t. j. księcia Aleksandra) urodził się w Ljeszi (Albania), jako syn jednego z udzielnych książąt albańskich Jana Kastriota i Serbki Vojslavy. W 1423 r. wraz z 3 braćmi został oddany jako zakładnik na dwór sułtana Murata II, gdzie wychowano go w wierze mahometańskiej. Kiedy w 1432 r. Turcy zajmują księstwo rodu Kastriotów i podstępnie mordują braci Jerzego, powodowany żądzą zemsty Skanderbeg rozpoczyna walkę z najeźdźcami, 1443 r. Wznieca on powstanie w Albanii, opanowując kraj w ciągu miesiąca. Uznany przez albańskich książąt naczelnikiem kraju, przyjmuje tenraz chrześcijaństwo. W latach 1443 — 1461 toczy on zwycięskie walki z czterema ekspedycjami tureckimi, zmuszając m. in. samego sułtana Murata II do wycofania się z Albanii. W 1461 r. nowy sułtan Mahomet II zawiera ze Skanderbegiem pokój i uznaje niepodległość kraju Skipetarów. Jednak już w trzy lata potem Skanderbeg licząc na pomoc przygotowującego krucjatę przeciw Turcji papieża Piusa II, rozpoczyna nową wojnę z Turkami. W toku walk spotyka Skanderbega śmierć 17.I.1468 r. Wojna trwa jeszcze do 1479 r., kiedy to Albania została ostatecznie opanowana przez Turków. Ród Skanderbega przenosi się do Wenecji, gdzie jego potomkowie żyją do dziś dnia.

Łączę wyrazy szacunku
Andrzej Biały

Redaguje zespół
Prenumerata miesięczna 4 — zł. Kwartalna 12 — zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, I p. tel. 860 11, 860 12.
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3. Zam. 1964. 4-B-10877.